

Gabriel Kristin

**Narzeczona z piekła
rodem**

“Annie, get your groom”

PROLOG

Annie Bonacci nie panikowała. Co to, to nie. Denerwowała się? Tak, trochę... Ale w żadnym wypadku nie dałoby się tego nazwać paniką. Można by powiedzieć, że doznała szoku tlenowego.

Ale jak mogło być inaczej, skoro wisiała właśnie za oknem swojej sypialni, która znajdowała się na czwartym piętrze pewnej kamienicy w Newark.

- Trzeba zmienić zawód - mruknęła. - Najwyższy czas na coś nowego - westchnęła, wczepiając palce w szorstki parapet. - Ale nic z tego nie wyjdzie bez długiej drabiny.

Zerknęła na ciemną alejkę dziesięć metrów niżej. Dziesięć metrów! To chyba zbyt optymistyczna ocena. Ale Annie była urodzoną optymistką. No, powiedzmy - czternaście metrów. Trzydziestojednoletnia dziewczyna z Jersey, która nigdy nie traciła kontroli nad własnym życiem, nie powinna uciekać przed prawdą. To właśnie przez chęć odsłonięcia prawdy wpakowała się teraz w kłopoty.

Jej obcisła, czerwona sukienka podjechała wysoko do góry. Wyżej niżby sobie tego życzyła. Odsłonięte wysoko uda, wystawione na uderzenia marcowego wiatru, powoli drętwiały jej z zimna.

Z jej mieszkania dochodziły wrzaski i przekleństwa, wobec których wycie ulicznych kotów, harujących na ulicy, brzmiało jak słodka muzyka.

Pozycja Annie była mocno niepewna. Drętwiały jej palce u rąk. Czubkami bosych stóp dotykała wąskiego gzymsu. Na skok było zbyt wysoko. Pomoc mogła przyjść tylko z zewnątrz. Ale jedyny człowiek, który wiedział o jej kłopotach, leżał teraz w szpitalu św. Jakuba z przetrąconą nogą, kilkoma

złamanymi żebrami i poważnymi obrażeniami ciała. Wszystko to zawdzięczał nieproszonym gościom, którzy w tej chwili plądrowali jej mieszkanie i nie zrezygnują, dopóki jej nie dorwą.

Zwodziła ich przez ostatnie dwa dni, ale ją odnaleźli. Należało pomyśleć o lepszej kryjówce.

I to jak najszybciej. Ale żeby coś przedsięwziąć, musi zejść z tego cholernego gzymsu.

Przez otwarte okno doszedł ją trzask otwieranych drzwi do sypialni. Zabrział jak wystrzał. Włosy zjeżyły się jej na głowie. To znaczy, że ciepłe cannoli, które specjalnie zostawiła na kuchennym stole, nie odwróciło ich uwagi.

Nie było czasu do stracenia.

Po lewej stronie miała rynnę, tak przerdzewiałą, że wydawała się z trudem utrzymywać ciężar dzikiego wina pnącego się po niej. Co dopiero mówić o sześćdziesięciu pięciu kilogramach. Trudno. Raz kozie śmierć.

Annie wzięła głęboki oddech, zamknęła oczy i jedną ręką objęła rynnę. Potem ostrożnie namacała stopą metalową obręcz przytrzymującą rurę i stanęła na niej całym ciężarem. Z trudem stłumiła jęk, gdy ostry metal przeciął jej skórę na stopie.

Przeniosła drugą rękę i drugą nogę. Rynna zgrzytnęła niepokojąco. Mimo to Annie zaczęła zjeżdżać w dół. Szorstki metal ranił jej dłonie, paliła zaczerwieniona skóra na gołych udach.

Z okien trzeciego piętra dolatywał ciężki zapach kapusty, którą pani Moynihan gotowała na kolację.

Niestety, rynna nie dochodziła do samej ziemi. Ślizg zakończył się upadkiem na wypchaną żeglarską torbę, którą Annie wyrzuciła przez okno, zanim zaczęła karkołomną ucieczkę.

- Oto kolejny dzień z życia dociekliwego dziennikarza - mruknęła, dźwigając się z wysiłkiem.

Z trudem łapała oddech. Uginały się pod nią kolana. Okazało się, że zjeżdżanie po rynnie w środku nocy nie jest takie proste, jak sobie wyobrażała. Ale przecież nie miała innego wyjścia.

Teraz musi uciekać! Wyjechać z New Jersey najszybciej, jak się da. Na szczęście wiedziała dokąd - w kieszeni miała bilet do Denver w stanie Kolorado, a w żyłach dość adrenaliny, żeby przedrzeć się na lotnisko. Albo pozwolić, żeby zrobił to za nią taksówkarz, gdyż samolot odlatywał za godzinę.

Wyciągnęła z torby pognieciony prochowiec i buty. Szpilki na ośmiocentymetrowych obcasach! Nie tak dawno temu wcisnęła je do torby. Teraz złapała się za głowę - takie coś nadaje się do tańczenia tanga, ale nie do ucieczki.

Mogła się pocieszać jednym - nie są to buty z betonu. Wcisnęła je szybko na podrapane stopy. Nie ma co czekać. Im dalej stąd, tym bezpieczniej.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nadeszła godzina próby.

Cole Rafferty wziął głęboki oddech. Musiał się skoncentrować. Zapomnieć o życiowych kłopotach. Liczyła się tylko ta chwila. Tylko od niego zależy, czy to będzie chwila znacząca...

Napiął mięśnie i wycelował. Potem powoli podniósł rękę i strzelił. Ugnieciona z papieru kula poleciała w stronę drzwi, na których wisiał plastikowy kosz do gry w dziecięcą koszykówkę.

Ten rzut rozstrzygnie o wszystkim. Jeśli będzie celny - jego drużyna zdobywa mistrzostwo stanu... Nie, nie stanu, ale Stanów. Nie! Mistrzostwo świata. Już wznosił rękę w triumfalnym geście, kiedy drzwi otworzyły się niespodziewanie i potracona kula upadła bezgłośnie na beżowy dywan.

- Wykroczenie! - wrzasnął do statecznej, postawnej kobiety, która stanęła w drzwiach.

- Dla mnie to zwykły śmieć. - Ethel Markowitz, nie zwracając na Cole'a uwagi, podniosła papier.

- Oddaj mi moją piłkę, Ethel. Muszę skończyć mecz. Cole zastanawiał się, czy napięte do granic możliwości

musztardowożółte spodnie Ethel pękną w szwie, czy wytrzymają jej skłon.

Wytrzymały. Prostując się, Ethel precyzyjnym rzutem umieściła kulkę w koszu na śmieci. Potem chrząknęła z dezaprobatą.

- Ten nibykosz na drzwiach wygląda tutaj bardzo niepoważnie. I zbiera się na nim kurz. Chyba najwyższy czas go zdjąć...

- Nie waż się nawet wspominać o tym przerwał jej ostrzegawczym tonem i z godnością zajął miejsce za wielkim, mahoniowym biurkiem. - Myślałem, że już wyjaśniliśmy sobie tę kwestię. Praca prywatnego detektywa jest ciężka i stresująca. Należy mi się chwila relaksu.

Rozparł się w skórzanym fotelu i wyciągnął nogi na biurku.

- Jeszcze trochę takiego relaksu, a zadzwonię po karetkę.

- Oto słowa oddanej sekretarki - parsknął śmiechem. Ethel spojrzała na niego znad okularów.

- Pański ojciec na pewno tak uważał. Pracowałam dla niego przez trzydzieści pięć lat i zawsze rozumieliśmy się wspaniale. On nigdy nie kładł nóg na biurku.

- Tylko dlatego, że przez całe życie bał się ciebie, Ethel. A ja w odróżnieniu od niego wiem, że jesteś słodką laleczką.

Ethel parsknęła ze złością.

- Może Barbie jest słodką laleczką. Ja jestem sześćdziesięcioletnią starą panną w ortopedycznych butach. Mam nadzieję, że będzie pan o tym pamiętać.

Ethel знаła go od dziecka, ale kiedy była na niego wściekła, zaczynała mówić do niego „pan”.

- Tak jest... laleczko - uśmiechnął się szeroko.

Nie musiał długo czekać na odwet Ethel, która w tej samej chwili wyciągnęła z kieszeni różowy notatnik.

- Tylko nie to, Ethel! - jęknął. - Chcesz powiedzieć, że dostałem więcej propozycji?

- Tym razem tylko trzy - odpowiedziała ze złośliwą satysfakcją.

- Nie chcę ich wysłuchiwać. - Odchylił głowę na poręcz fotela.

Całkowicie ignorując jego słowa, zaczęła odczytywać na głos kolejne wiadomości.

- Panna Abigail Collins jest kolekcjonerką zastawy stołowej. Pyta, jakie smaki pan lubi? Penny Biggs z kolei chce zorganizować panu spotkanie z jej rodzicami. A ktoś o imieniu Rita obiecuje - cytuję - odlotową podróż poślubną, podczas której zajmie się pana ptakiem, zgodnie z radami koleżanek z celi.

- Tym razem tato przesadził - mruknął przez zęby.

Nie liczył na współczucie Ethel. Ona zawsze broniła jego ojca jak lwica. I nie pomylił się.

- Przecież on zrobi wszystko dla pańskiego dobra! Całymi godzinami redagował to ogłoszenie, zanim uznał, że nadaje się do druku. Ma nadzieję, że w końcu pan się ustatkuje i obdarzy go wnukami.

- Może kupię sobie chomika. Jak myślisz, Ethel, czy chomik go usatysfakcjonuje? To był żart - dodał szybko, widząc wyraz twarzy sekretarki..

- Nie jestem tutaj po to, żeby wysłuchiwać dowcipów.

- Ani po to, żeby przepisywać prywatne ogłoszenia...

Ethel nie drgnął na twarzy żaden mięsień, ale Cole zauważył niepewny błysk w jej oczach. Miał ją! Oczywiście, że musiała współpracować z ojcem przy realizacji ostatniego, całkowicie poronionego pomysłu.

Rex Rafferty przeszedł na emeryturę rok temu i od tego czasu każdą wolną chwilę poświęcał na wtrącanie się w osobiste życie syna. Zapisał Cole'a na kursy ceramiczne dla samotnych. Obrzucał go książkami typu „Jak umówić się z dziewczyną”. A nie dalej niż w zeszłym tygodniu umieścił w lokalnej gazecie ogłoszenie matrymonialne. Zgodnie z anonsem, Cole był osobą, która desperacko „marzy o romantycznym związku”. Efektem tego były sto trzydzieści dwie odpowiedzi - nie tylko od kobiet.

Gdyby nie to, że bardzo kochał ojca, chyba by go zabił. Ogłoszenie było tylko czubkiem góry lodowej, a Cole czuł się jak Titanic.

- Ethel! - westchnął. - Czy naprawdę musiałaś podawać moje nazwisko i numer telefonu? Szczególnie w połączeniu z informacją, że „lubię się zabawić”? Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak to zabrzmiało?

- Przecież gra pan na wyścigach. Hazard nie jest jedyną pana słabostką. - Ethel rzuciła znaczące spojrzenie na kosz na drzwiach. - Uważam, że trzydziestoczteroletni mężczyzna powinien znaleźć sobie miłą i przyzwoitą dziewczynę. Mam siostrzenicę...

Chrząknął na tyle głośno, że zdołał jej przerwać. Dość swatania. I tak z trudem wytrzymuje własnego ojca. Ma na głowie ważniejsze sprawy, niż omawianie swojego stanu cywilnego. Na przykład nie skończony mecz.

Zdecydowanym ruchem zgarnął papiery leżące na biurku i ułożył je w zgrabny stosik. Potem rozejrzał się w poszukiwaniu długopisu.

- Bardzo chciałbym dowiedzieć się czegoś o twojej siostrzenicy, Ethel, ale muszę popracować. - Z uwagą wpatrzył się w papiery.

- Pięc pionowo to synekdocha. Już sprawdziłam - poinformowała go z niewinną miną. - Czy mam powiedzieć kobiecie, która czeka w holu, że jest pan teraz zbyt zajęty, żeby się z nią spotkać?

- Kobiecie? Jakiej kobiecie? Pewnie jakaś wariatka, która przeczytała ogłoszenie, tak?

- Wygląda na potencjalną klientkę.

- Co?! - podskoczył. - Naprawdę? Dlaczego nic nie mówiłaś? - Otworzył wielką szufladę i zgarnął do niej całą eskadrę papierowych samolotów, potem zdmuchnął z biurka okruchy ciastek. - Nie nabierasz mnie, prawda?

- Robienie ludziom dowcipów nie jest moim ulubionym zajęciem.

- Możesz ją wpuścić. Nie! Poczekaj chwilę. Muszę włożyć buty.

- Czyżby przyszedł pan dzisiaj do pracy w butach?

- W wolnej chwili powinnaś popracować nad problemem sarkazmu, Ethel. To bardzo nieprofesjonalne zachowanie...

Ethel, nie przejmując się zupełnie, zrobiła zgrabny zwrot na swoich gumowych obcasach i wyszła.

Prawdziwy klient. Prawdziwa sprawa. A co, jeśli nie? Lepiej nie robić sobie zbyt wielkich nadziei. Agencja Detektywistyczna Rafferty nie była instytucją przyciągającą szczególnie ekscytujące przypadki. Przekazując biuro Cole'owi, stary pan Rafferty wyraził nadzieję, że syn utrzyma wysoki standard usług. Znaczyło to - żadnych spraw rozwodowych, żadnego śledzenia w przebraniu, żadnych krzykliwych ogłoszeń w prasie. Honoraria na tyle wysokie, żeby zapewnić sobie jedynie bogatych i odpowiedzialnych klientów.

Zgadząc się na warunki ojca, Cole nie miał pojęcia, w co się pakuje. Kiedy się spostrzegł, było już za późno. Agencja Detektywistyczna Rafferty okazała się najsolidniejszym i najnudniejszym biurem tego rodzaju w całym Denver. Cole pracował dla kilku wielkich firm jako konsultant do spraw ochrony. Otrzymywał za to bardzo wysokie wynagrodzenie. I tyle. Większość czasu spędzał w biurze, znudzony do granic, zastanawiając się, w jaki sposób rzucić to wszystko i znaleźć ciekawszą pracę, nie sprawiając ojcu przykrości.

Co gorsza, zdawał sobie sprawę, że nic nie wie o interesujących przypadkach, bo nawet jeśli takie pojawiały się czasem, to Ethel, stojąca wiernie na straży, nie przepuszczała ich do jego sanktuarium. Gdyby nawet udało mu się przekonać ojca, że warto nieco rozluźnić zasady, Ethel nigdy

by na to nie pozwoliła. Mógł więc tylko czekać na jej odejście na zasłużoną emeryturę.

Westchnął i zawiązał krawat. Jeśli tej kobiecie udało się przejść przez sito zastawione przez Ethel, nie miała mu nic ciekawego do zaproponowania. Prawdopodobnie była to następna dama z towarzystwa, podejrzewająca pokojówkę o kradzież rodowych sreber. W grudniu zmarnował dwa tygodnie na poszukiwania srebrnej chochli, która znalazła się w lombardzie, zastawiona tam przez najmłodszego syna - zadłużonego po uszy karciarza. Śledztwo przyniosło Cole'owi spore honorarium, nie mówiąc o kilku upojnych randkach z nie tak znowu niewinną pokojówką.

Wynikało z tego, że Cole'owi zdarzały się w pracy ekscytujące chwile. Brakowało mu jednak ryzyka. Kochał ryzyko. Zanim przejął rodzinny interes, był policyjnym detektywem w Westview w stanie Ohio. A teraz? Teraz cały swój wysiłek skupiał na tym, żeby jak najdłużej zostać kawalerem. W przeciwnym razie ugrzęźnie w nudnym i przewidywalnym do najdrobniejszego szczegółu małżeństwie, tak jak ugrzązł w nudnej i przewidywalnej pracy.

Skrzypnęły drzwi. Ethel wprowadziła jego przyszłą klientkę. Już na pierwszy rzut oka było jasne, że nie jest to osoba nudna.

Ani przewidywalna.

Miała na sobie długi, czarny prochowiec i czarny beret wciśnięty na szopę gęstych, kruczoczarnych loków. Znad opuszczonych ciemnych okularów słonecznych patrzyła na niego niezwykle fioletowiebieskimi oczami, najwyraźniej zniesmaczona tym, co zobaczyła.

- A pan to niby kto? - prychnęła.

- A ja to niby Cole Rafferty, chyba że ma pani inne życzenia.

Znowu mam pecha, pomyślała Annie. A już miała nadzieję, że nic gorszego jej nie spotka. Najpierw - ucieczka z Newark. Potem - torebka, skradziona na lotnisku w Denver, razem z pieniędzmi i kartami kredytowymi. A teraz - to!

Nawet przez ciemne okulary widziała, że facet, który siedzi za biurkiem, w niczym nie przypomina nobliwego starszego pana, którego portret wisiał w holu. Przed sobą miała młodszą wersję tamtego. A ona nie życzyła sobie tej wersji. Chciała rozmawiać z kimś dużo starszym. Siwowłosym. Pomarszczonym. Z kimś, kto pogłaska ją po głowie i z ojcowską troską zapewni, że nie warto się martwić.

Na pewno nie życzyła sobie rozmowy z muskularnym typem o brązowym, sennym spojrzeniu. Zawsze, odkąd sięgała pamięcią, zakochiwała się w takich jak on. I zawsze, odkąd sięgała pamięcią, źle się to dla niej kończyło.

- A pani jest...? - Brązowooki lekko uniósł się z fotela.

- Co za parszywy dzień! - westchnęła ciężko. - Chcę tego drugiego.

- Słucham?

- Tamtego ze zdjęcia. - Wskazała podbródkiem drzwi. - Gdzie go mogę znaleźć?

- Tamten ze zdjęcia jest na emeryturze. Obawiam się, że jest pani skazana na mnie. Przepraszam, nie dosłyszałem nazwiska.

- Jestem Annie - wyrzuciła z siebie, ale zaraz tego pożałowała.

Jeszcze chwila, a zdekonspirowałaby się przed tym facetem. Znowu! Zawsze to samo. Dlatego poprzysięgła sobie trzymać się z daleka od wszystkich mężczyzn. Przynajmniej do chwili, w której odkryje, dlaczego zakochuje się wyłącznie w niewłaściwych egzemplarzach.

- Annie? I tyle? - zapytał.

- Annie... Jones.

Nieźle. Powinna jeszcze opanować świerzbienie, które czuła na karku. Tak reagowała na pociągających mężczyzn. Albo na początki kataru.

- Annie Jones - powtórzył z namysłem. - Pani akcent... Jakoś nie umiem go zlokalizować.

Pięknie. Zajęcia z dykcji na nic. Dwieście dolarów wyrzucone w błoto. Wynika z tego, że dziewczyna może opuścić Jersey, ale Jersey nigdy jej nie opuści.

- Wada wymowy - skłamała szybko. - Nie chciałabym o tym rozmawiać.

- Oczywiście - wtrąciła się Ethel, która wciąż stała w drzwiach. - Pan Rafferty nie miał zamiaru pani urazić. Proszę mi wierzyć, że zwykle bywa bardziej uważny.

- Dziękuję, Ethel - przerwał jej sucho. - Możesz wrócić do siebie. Dam sobie radę sam.

Kiedy Annie podniosła głowę, okazało się, że Cole wbija w nią badawcze spojrzenie. Co za oczy! Brązowe jak rozpuszczona czekolada. Dosyć! - nakazała sobie stanowczo. Dostyć, bo cała wyprawa do Kolorado zamieni się w koszmar. Wczoraj zgubiła się w drodze z lotniska do hotelu i umówione spotkanie diabli wzięli. Nie miała pojęcia, jak znaleźć mężczyznę, z którym była umówiona. Nie miała pieniędzy. Nie miała gdzie pójść. Po tym, jak wystawiła do wiatru samego Quinna Vegę, nie mogła wrócić do Newark. Mogła tylko marzyć, że ponad trzy tysiące kilometrów okażą się wystarczającą odległością, żeby uciec od niego i jego ludzi.

Cole nadal na nią patrzył. Jeśli był tak inteligentny jak przystojny, musiała postępować bardzo ostrożnie. Zwłaszcza że zamierzała poczęstować go historyjką całkowicie wyssaną z palca.

- Zgadzam się. Poprowadzę pani sprawę.

- Co?! - zamrugła.

- Skoro pani tu jest, musi też być sprawa. Biorę ją.

Nie tak szybko, pomyślała. To wcale nie jest takie proste.

- Przecież nie wie pan o co chodzi. A jeśli to nie będzie interesujące?

- Jest interesujące. - Pochylił się do niej. - Właściwie trzeba powiedzieć: intrygujące. Ciemne okulary, płaszcz do samej ziemi. Dlaczego? Czy ktoś panią napastuje? Ściga? Siedzi? Proszę pamiętać, że wszystko, co pani powie, zostanie między nami.

Zabrzmiało to szczerze, ale Annie nie miała zamiaru być szczerą. Im mniej ten człowiek wie, tym lepiej. Ona sama panuje nad sytuacją.

- Dziękuję panu, panie Rafferty.

- Cole.

- Dziękuję, Cole. Nawet nie wiesz, jak mi ulżyło. Jesteś szóstym detektywem, z którym dziś rozmawiam.

- Szóstym?! - Znieruchomiał.

- Tak. Byłeś ostatni na liście.

- Wszyscy inni odmówili? Tym bardziej chcę wiedzieć, w co się wpakowałem.

- Sprawa jest prosta, aczkolwiek może wydać ci się trochę dziwna.

- Przepadam za czymś takim.

Skoro tak... Annie zacisnęła palce na okularach i wzięła głęboki oddech.

- Szukam narzeczonego.

Takiej reakcji się nie spodziewała. Ołówek wypadł mu z dłoni i potoczył się po podłodze. Wymruczał pod nosem jakieś przekleństwo. Po dłuższej chwili odezwał się szorstko:

- Przysłał panią mój ojciec, tak?

- Co?

- Wszystko ukartowaliście. Powinienem zgadnąć, widząc, że Ethel macza w tym palce.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Traci pani czas, panno Jones - uśmiechnął się sztucznie. - Mam zamiar jeszcze długo być kawalerem, bo mi z tym dobrze. Nie uwiedzie mnie pani pięknymi oczami, zniewalającym uśmiechem i przebraniem a la Mata Hari. Proszę poszukać narzeczonego gdzie indziej. I proszę powtórzyć tacie, że prawie mu się udało.

- Czy ty nie bierzesz przypadkiem jakichś leków? - zapytała. - Chyba się nie zrozumieliśmy.

- Proszę sobie darować - powstrzymał ją gestem dłoni. - Przykro mi, ale nie jestem zainteresowany. Dziękuję, że pani wpadła.

No tak. Mam pecha, jak zwykle. Zgubiona torebka, zgubiony narzeczonego, a teraz to... Jedyne prywatne detektyw, który zechciał ze mną rozmawiać, okazał się świrem. Ciekawe, co złego jeszcze mi się przytrafi? W tej samej chwili kichnęła. Poczowała, że leje się jej z nosa. Nie miała ani centa na lekarstwo. Cole podał jej papierowe chusteczki.

- Nie warto się przejmować - powiedział. - Są inne sposoby złapania narzeczonego. Może warto spróbować czegoś bardziej konwencjonalnego? Proszę skontaktować się z jakimś biurem matrymonialnym.

Skoro złagodniał, od kiedy zaczęła kichać, kichnęła jeszcze raz.

- Och, to nie to. Po prostu chcę znaleźć narzeczonego. Mężczyznę, który mi się oświadczył.

- Oświadczył się?

Zrozumiała, dlaczego w poczekalni nie było nikogo. Jak na prywatnego detektywa nie był specjalnie błyskotliwy.

- Oczywiście, że mi się oświadczył. W bardzo poetycki sposób.

Najwyraźniej potrzebował czasu, żeby dotarł do niego sens jej słów.

- To znaczy - wyjąkał - że nie chce pani wyjść za mnie?

Wprawdzie od razu uznała, że Cole Rafferty jest atrakcyjny - na swój prymitywny, machopodobny sposób. Jedne to lubią, inne nie. Świetnie zbudowany - to na pewno. No i te oczy! Na widok takich oczu pod każdą bez wyjątku kobietą uginają się kolana. Ale od kogoś z tak przerosniętym ego powinno się uciekać, najdalej jak się da.

- Nie - pokręciła energicznie głową. - Skąd ten pomysł?

- Długo trzeba by opowiadać. - Przeczesał palcami włosy, i żeby ukryć zakłopotanie schylił się i podniósł długopis z podłogi. - Powiem tylko, że mój ojciec ostatnio kompletnie zwariował. Nieważne. Proszę opowiedzieć, co mogę dla pani zrobić.

- Znaleźć mojego narzeczonego. Wczoraj wieczorem mieliśmy się spotkać w hotelu Regency, ale samolot się spóźnił, a potem zostałam okradziona...

- Okradziona? - przerwał.

- Tak. Na lotnisku ktoś przywłaszczył sobie moją torbę. Nie miałam pieniędzy na taksówkę i do centrum dojechałam autostopem...

- Autostopem! W nocy? W Denver? - Cole wytrzeszczył na nią oczy.

- Nie miałam innego wyjścia - wzruszyła ramionami.

- Poza tym, ludzie przesadzają, twierdząc, że autostop jest aż tak niebezpieczny.

- Taak? Ciekawe.

- Wiem, co mówię.

No tak. Powinna ugryźć się w język. Cole Rafferty nie może się domyślić, że jest dziennikarką.

- To znaczy - dodała pośpiesznie - czytałam niedawno artykuł o autostopie. Bardzo porządnie udokumentowany.

Jasne, że porządnie udokumentowany. Annie napisała go po kilku randkach z facetem, który pięć razy przejechał autostopem całą Amerykę. Niestety, okazało się, że

finansował sobie podróż, notorycznie fałszując czek. Teraz przysyłał jej życzenia urodzinowe z więzienia.

- Aha. - Cole znowu bardzo uważnie popatrzył na Annie.

- Ale wróćmy do wczorajszego dnia. Przyjechała pani do hotelu. Co się stało później?

- Nic! O to chodzi, że nic. Mój narzeczony się nie pokazał.

Zaginął.

Cole zapisał coś w notesie.

- Świetnie. Mamy zaginioną osobę. Jak nazywa się pani narzeczony?

- Roy. Roy Halsey.

- Wiek?

- Trzydzieści siedem.

- Zawód?

- Ma ranczo.

- Czy może pani mi go opisać?

- Nie bardzo. Mam tylko czarno-białe zdjęcie.

Znieruchomiał, po czym podniósł na nią wzrok.

- Zdjęcie?

- Jeszcze go nie widziałam.

- Słucham?

Annie potarła palcem policzek, a potem wypaliła:

- Korespondujemy z Royem już cztery miesiące. Mamy wiele wspólnego. Jestem pewna, że będziemy bardzo szczęśliwi.

Cole nadal wpatrywał się w nią osłupiałym wzrokiem.

- Chce pani powiedzieć, że pani nie zna tego człowieka? Wczoraj wystawił panią do wiatru, a pani chce za niego wyjść? Czy pani zwariowała?

- Skądże. Jestem po prostu korespondencyjną narzeczoną.

Cole nie wiedział, czy się śmiać, czy od razu wyrzucić ją z biura. Małżeństwo zawsze jest loterią - nawet jeśli dwoje ludzi

zna się jak łyse konie. Ale tacy, którzy potrzebują zdjęć, żeby się rozpoznać, na pewno skończą rozwodem.

Z drugiej strony, ta dziewczyna wcale nie żartowała. Odwrotnie. Wyglądała bardzo serio. I to właśnie było nieprawdopodobne. Dlaczego ktoś o niezwykłych fiołetowonie-bieskich oczach, zmysłowych ustach i figurze, którą Cole tylko sobie wyobrażał, gdyż obszerny prochowiec skutecznie ją zasłaniał, szukał męża za pośrednictwem poczty?

Nagle przypomniał sobie o stu trzydziestu dwóch osobach, które odpowiedziały na anons: „Starzejący się kawaler, który lubi się zabawić, marzy o romantycznym związku. Zdarzało się już wam umawiać z gorszymi”.

Nie. Zdrowy na umyśle człowiek nigdy nie pojmie pobudek, jakie kierują desperatami.

- A więc mam pani znaleźć pana młodego?

- Tak. Przydałby się na ślubie.

- A co, jeśli w ostatniej chwili zmienił zdanie?

- Niemożliwe. Pewnie myśli, że to ja wystawiłam go do wiatru. Sama go nie odnajdę - w obcym mieście, bez pieniędzy, bez kart kredytowych. Cole zauważył, że przygryzła dolną wargę, żeby powstrzymać drżenie głosu. Bez słowa podał jej następną chusteczkę.

- I naprawdę nie przyszło pani do głowy, że Roy Halsey mógł wziąć nogi za pas? Albo spotkać inną kobietę? Małżeństwo to poważny życiowy krok.

- Bzdury - potrząsnęła głową. - Zaledwie kilka dni temu prosił, żebym przyjechała. Dlatego potrzebuję detektywa. Muszę się spotkać z narzeczoną. I to dzisiaj.

- Po co ten pośpiech? Warto byłoby go poznać. Sprawdzić, jaki to człowiek.

- Nie mam na to czasu. Przejechałam taki szmat drogi...

- A skąd? Wyraźnie się zawahała.

- Z... Nowej Anglii.

- Przejechała pani ponad trzy tysiące kilometrów, żeby wziąć ślub z nieznajomym?! Wie pani, to nawet nie jest szokujące. To kompletne wariactwo.

- Nie interesuje mnie, co pan o tym myśli - odpowiedziała ostrym tonem.

- Szkoda. Warto byłoby poznać opinie innych ludzi. Na przykład jakiegoś dobrego psychiatry. Może Halsey poleci kogoś takiego. Powinien. Nie mam wątpliwości, że sam też jest pacjentem. Proszę także zadzwonić do najbliższego więzienia.

Cole zamilkł na chwilę, potrząsnął głową i ciągnął dalej:

- Jestem coraz bardziej pewien, że dla pani dobra nie powinienem szukać tego faceta.

- Jeśli pan go nie znajdzie, nie będę mogła...

- Tak?

Annie wytrzymała jego spojrzenie tylko przez chwilę. Potem szybko spuściła oczy. Cole był pewien, że chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

- .. .wziąć ślubu. Przez całe życie marzyłam o białej sukni. Cole nie wierzył własnym uszom. Nie miał pojęcia, że coś podobnego zdarza się jeszcze w dzisiejszych czasach. A skoro się zdarza - pozostaje mu czekać do czasu, gdy jego ojciec odkryje katalog zatytułowany „Żony do wzięcia” i zamówi mu którąś z nich. Pewnego dnia wróci do domu i zastanie pannę młodą, zamówioną przez pocztę. Będzie czekała na niego na schodach w białej, koronkowej sukni i welonie... Koszmar.

- Cole? - ocknął się na dźwięk głosu Annie. Spojrzał na nią znowu. Bardzo atrakcyjna kobieta, ubrana jak szpieg w drugorzędym filmie... Wydaje się gotowa na wszystko, byleby tylko znaleźć zupełnie obcego faceta, którego poznała listownie. Coś tu nie gra, pomyślał. Ale nie wiedział, co.

- Czy podejmiesz się tej sprawy? - zapytała głosem, w którym wyczuł napięcie.

Zauważył, że ściska nerwowo ręce. W jej oczach czaił się strach. Nie było wątpliwości - ta kobieta kłamała. Albo nie powiedziała mu całej prawdy. Ciekawe dlaczego? Najwyraźniej chciała czegoś od Roya Halseya. I nie był to zaręczynowy pierścionek. Tego był pewien.

- Tak - odpowiedział.

Bardzo się starał, żeby nie zauważyła, jak bardzo jest zadowolony. Po numerze, jaki wyciął mi własny ojciec, potrzebuję czegoś takiego, pomyślał. Sprawa panny Annie Jones - jeśli nazywała się tak naprawdę - wydała mu się czymś bardzo obiecującym. A może nawet ryzykownym.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rafferty dał się nabrać!

Annie opadła z ulgą na siedzenie szarego chevroleta, którym Cole podwoził ją do hotelu „Regency”. A już się bała, że z powodu chaosu, w jaki zamieniło się ostatnio jej życie, utraciła całą zdolność blefowania, zmyślania i maskowania faktów. Zwłaszcza po tym, jak pięciu innych prywatnych detektywów, po usłyszeniu tej historii, wyrzuciło ją ze swoich biur.

Zawsze miała się za osobę cyniczną. Uważała, że bez tego nie uda się jej zostać dziennikarką z prawdziwego zdarzenia. A to było marzeniem jej życia.

Gdyby nie była chociaż trochę cyniczna, nie zaczęłaby pisać o zjawisku, które roboczo nazwała „korespondencyjne panny młode”. Od sześciu miesięcy zbierała materiały i z pełną premedytacją odpowiadała na oferty matrymonialne, które znajdowała w gazetach i specjalnych katalogach. Warunek był tylko jeden - musieli mieszkać daleko od New Jersey.

Skończyło się to oświadczynami Roya Halseya, jednego z wielu korespondentów, który wprawdzie pisywał do niej przyciężkim stylem wiejskiego kowboja, ale jednocześnie nie mógł wybrać lepszej chwili na zaproszenie jej na swoje ranczo w Górach Skalistych. Bowiem trudno wyobrazić sobie lepszą kryjówkę niż "ranczo głęboko ukryte w górach.

W takim miejscu nie odnajdzie jej ani Quinn Vega, ani żaden z jego zbirów, którzy teraz prawdopodobnie prują ściany w jej mieszkaniu, poszukując prywatnego notesu swojego szefa. Annie przez pięć miesięcy znosiła towarzystwo

Vegi i udawała jego dziewczynę tylko po to, żeby rzeczony notes znalazł się w jej rękach.

Dzisiaj wiedziała, gdzie i w jaki sposób Vega pierze brudne pieniądze. Z takimi dowodami można byłoby zamknąć go w więzieniu na długie lata. Jednak dla Annie ważniejsze było to, że mając tę wiedzę, ona sama mogła napisać reportaż dziesięciolecia. Ba! Może nawet stulecia.

Niestety, po pięciu miesiącach spędzonych w towarzystwie Vegi dowiedziała się także, jaki los spotkał dziewczyny obecne kiedyś w jego życiu. Żadnej nie udało się uciec. Kończyły na ogół na dnie Hudson River...

Annie znowu westchnęła. Przez całe życie na jej drodze stawali podobni mężczyźni. Na przykład w liceum. Umawiała się z gwiazdą szkolnej drużyny futbolowej... Chłopak najwyraźniej zapomniał, że Annie redaguje szkolną gazetę, kiedy zając pizzę opowiedział jej, jak to wspólnie z innymi zawodnikami uprawiają hazard.

Na studiach chodziła na randki z profesorem, który wpisywał oceny do indeksów za forszę - grubą forszę. Potem był Julio, nałogowo praktykujący kradzieże w sklepach, oraz Eugene, entuzjasta napadów z bronią. Dzisiaj mogła powiedzieć, że miała strasznych facetów, dzięki którym napisała kilka świetnych artykułów.

Powinna była o tym pamiętać, lądując - zupełnie dosłownie - na kolanach Quinna, podczas fotografowania wyjątkowo spektakularnej bramki na meczu hokejowym. Tymczasem ona wmówiła sobie, że trafiła na mężczyznę swojego życia. Bardzo szybko okazało się, że mimo olśniewającego wyglądu nie jest to mężczyzna jej życia. Już w miesiąc po pierwszej randce odkryła, że Quinn ma kontakty ze zorganizowaną grupą przestępczą. Jakby tego nie było dosyć, wytropiła, że był wmieszany w kilka brutalnych pobić i ponosił odpowiedzialność za tajemnicze zniknięcie dwóch

osób. Zamiast uciekać, nadal udawała jego dziewczynę - wszystko po to, żeby zdobyć więcej materiału do artykułu.

Popełniła wielki błąd.

Teraz, patrząc na ośnieżone czubki Gór Skalistych - piękne, ale obce - zastanawiała się, co robi w Kolorado. Czy Roy okaże się inny? Nigdy jeszcze nie umawiała się z kowbojem - w Newark niełatwo ich spotkać. Ale z drugiej strony - z doświadczenia wiedziała, że mężczyźni są wszędzie podobni. Przynajmniej ci, którzy kręcili się wokół niej. Od jakiegoś czasu zastanawiała się, czy aby nie ma w sobie czegoś w rodzaju magnesu, który przyciąga najgorsze męty z okolicy. A ponieważ od kilku dni jej życiowa dewiza brzmiała: „Zawsze spodziewaj się najgorszego”, zerknęła spod oka na Cole'a, dumając, co kryje się pod tak atrakcyjną powierzchownością.

- A właściwie to jak spotkałaś Roya? - zapytał.

- Już ci mówiłam, że się nie spotkaliśmy. Jeszcze nie.

- Wiem. Chodzi mi o to, jakim cudem zaczęliście korespondować? Znalazł cię w cyberprzestrzeni? Miłość przez Internet?

- Prawdę mówiąc, to ja znalazłam jego anons w specjalnym miesięczniku dla samotnych. Na zdjęciu był słodki.

- Jasne. - Przewrócił oczami z politowaniem. - Jest na czym budować poważny związek. Czy nigdy ci nie mówili, żeby nie oceniać książki po okładce?

- Po książki chodzę do biblioteki - odparła. - Mówiłam ci już, że zależy mi na mężu. Szkoda tylko, że męża nie da się oddać do biblioteki, jeśli okaże się nic niewart.

- Ludzie zwykle spotykają się i poznają, zanim zdecydują się na małżeństwo. Może spróbowałabyś czegoś w tym rodzaju?

- Nie sędzę, żeby coś takiego spodobało się mojemu narzeczonemu.

- Twojemu narzeczonemu! - prychnął. - Nie znasz go. Co będzie, jeśli okaże się wielokrotnym mordercą, który zwabia kobiety na ustronne ranczo, żeby je zabić? Albo zbo-czeńcem? Albo... fanatykiem muzyki disco?

- O tak. Najbardziej bałabym się tego ostatniego - zaśmiała się, po raz pierwszy od dwóch dni.

- Żartuję, ale nie do końca. Może się okazać, że związałaś się z szaleńcem tylko po to, żeby zostać mężatką. Sam nie wiem, czy to zwykła głupota, czy kryzys wieku średniego.

- Co? - Oburzona Annie otworzyła usta ze zdziwienia. - Przecież ja mam dopiero trzydzieści jeden lat.

- Właśnie o tym mówię. Zegar biologiczny tyka coraz głośniej. Przyznaj się, że wychodzisz za tego kowboja, bo chcesz urodzić dziecko.

Miała ochotę wyskoczyć z samochodu. Albo wykopać z niego Cole'a.

- Jeśli mam teraz do czynienia z przykładem twoich detektywistycznych umiejętności, źle widzę swoją przyszłość.

- Jesteś zła, bo cię przejrzałem.

Westchnęła głęboko, a potem powiedziała niewinnym tonem:

- A co będzie, jeśli powiem ci w największej tajemnicy, że byłam dziewczyną znanego mafiosa i uciekam, bo wydałam go glinom?

- Pięknie, ale wymyśl coś lepszego. Myślałem, że stać cię na więcej.

Annie z przerażeniem zorientowała się, co zrobiła. Idiotka! Powiedziała mu prawdę, tylko dlatego, żeby się z nim podroczyć. A może jest inaczej? Może prawda tak bardzo jej ciąży, że musi się zwierzyć, i to pierwszemu z brzegu? Niebezpiecznie. Przekonała się o tym trzy dni temu, kiedy

poszła na policję i trafiła na gliniarza, który akurat był człowiekiem Vegi.

- Masz rację - rzuciła swobodnym tonem. - Stać mnie na dużo więcej. Przecież jestem przybyszem z innej planety. Szukam śladów inteligentnych istot żyjących na Ziemi. Na razie bez skutku...

Niestety, droga do hotelu „Regency” nie trwała na tyle długo, żeby Cole wydobyl więcej informacji od Annie Jones. Dziewczyna nadal była dla niego zagadką. Raz - tajemnicza i nieobliczalna, chwilę potem na zimno planuje małżeństwo z zupełnie obcym mężczyzną.

A Roy Halsey? Facet nazywa się całkiem niewinnie. Ale dlaczego ściąga sobie żonę z daleka, skoro tutaj, w Kolorado, można znaleźć tłumy kandydatek gotowych na wszystko, o czym Cole przekonał się niedawno na własnej skórze?

Zatrzymał samochód przed hotelem. Rzucił kluczyki jaskrawo umalowanej blondynce, która obsługiwała parking, zostawił marynarkę na tylnym siedzeniu i dogonił Annie.

- Nie powiedziałem jeszcze, że do końca sprawy sam pokrywam koszty napiwków i ewentualnych nieprzewidzianych wydatków. Ethel powinna poinformować cię o wszystkim, kiedy wpłacałaś depozyt.

- Nie wpłacałam żadnego depozytu. - Annie, uśmiechając się promiennie do portiera, zgrabnie wślizgnęła się do holu.

Cole przyglądał się właśnie jej zgrabnym kostkom, zastanawiając się, czy Halsey ma szczęście, czy wręcz przeciwnie, więc jej uwaga dotarła do niego z pewnym opóźnieniem.

Ethel nie pobrata od klienta depozytu... Coś takiego jeszcze się nie zdarzyło. Całkowicie zaskoczony pobiegł za Annie, nie zatrzymując się ani chwili przy drzwiach, mimo że wiedział, iż każdy profesjonalista powinien teraz dokładnie przepytac portiera.

- Jak to nie wpłaciłaś depozytu? Dlaczego?

- Mówiłam ci, że zostałam okradziona. Poza tym Ethel była zbyt zajęta. Cały czas opowiadała mi o tobie.

- Coo?!

- Twoja sekretarka powiedziała, że jesteś najbardziej zawziętym człowiekiem, jakiego zna. Nie popuścisz, dopóki nie rozwiążesz zadania, które sobie postawiłeś.

- Zawzięty... To nie brzmi zbyt zachęcająco.

- W jej ustach był to komplement. Powiedziała też, że jesteś szlachetny, lojalny i zdolny do poświęceń.

- Teraz zrobiła ze mnie świętego Bernarda.

- ... i że na łopatkę masz znamię w kształcie małego niedźwiadka.

- Tylko nie niedźwiadka! To raczej grizzly szykujący się do skoku - zreflektował się zbyt późno.

Był wściekły na siebie i na Ethel, która nie wiadomo dlaczego zdradza nieznajomym szczegóły z jego życia.

- Warunki finansowe można omówić później. - Próbował zignorować rozbawienie malujące się na twarzy Annie. - Najwyższa pora, żeby zacząć...

- Pytałam już o niego w recepcji - przerwała mu.

- Zostaw to mnie - powiedział z pełnym wyższości uśmiechem. - Takie rzeczy powinni robić zawodowcy.

No tak. Od czasu do czasu detektywom trafiają się klienci, którzy wiedzą wszystko lepiej. Fatalne utrudnienie. Powinien przyjść tutaj bez niej. Ustawił się w kolejce do recepcji i poszukał wzrokiem Annie. Na szczęście zrozumiała jego uwagę. Znalazła sobie krzesło za wielką palmą i trzymała się z daleka. Zaczęła nawet zdejmować prochowiec. Cole zmarszczył brwi i rozdziawił usta. Annie miała na sobie obcisłą, koktajlową sukienkę, która podkreślała wszystkie jej wypukłości; tak krótką, że zakrywała jedynie kilka centymetrów długich, piekielnie zgrabnych nóg.

- Czym mogę służyć? - usłyszał głos recepcjonisty.
- Hmm... - Z trudem oderwał oczy od Annie. - Szukam człowieka o nazwisku Halsey.

- Jak ma na imię? Proszę pana...

- Imię? - Cole oblizał suche wargi. - Roy. Roy Halsey.

- Czy ten pan jest naszym gościem?

Cole nie odpowiedział. Jednym skokiem znalazł się obok Annie.

- Co ty, na Boga, robisz?

Annie zrzuciła właśnie but i opierając stopę o brzeg stolika, zaczęła masować sobie podbicie.

- Mam na sobie te same ciuchy przez ponad osiemnaście godzin. Jestem spocona i brudna. Nie mówiąc już o szpilkach. Chodzenie w czymś takim to tortura.

- Jak rozumiem, tam gdzie mieszkasz, podobne sukienki traktuje się jak zwykły, sportowy strój.

- Nie podoba ci się moja sukienka? - Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Skądże znowu. Jeśli zamierzasz starać się o posadę na najbliższym rogu...

- Przestań się czepiać. Wyjeżdżałam z domu w pośpiechu i nie miałam czasu się przebrać. - Uniosła brodę, wyraźnie rozzłoszczona. - Poza tym, czerwony to ulubiony kolor Roya.

- Dlaczego o tym wcześniej nie pomyślałem? - prychnął - Zechciej teraz być dobrą klientką i nie ruszaj się stąd, dopóki nie wrócę. - Posadził ją na krześle w kącie. - I nie zdejmuj już z siebie więcej rzeczy. Ludzie patrzą.

Annie spojrzała na długowłosego, przyszczatego nastolatka ze słuchawkami w uszach, który siedział naprzeciwko niej, kiwając się w rytm muzyki. Młody człowiek puścił do niej oko i z entuzjazmem podniósł kciuk do góry.

- Dlaczego zawsze muszę się w coś wpakować? - jęknęła z rezygnacją.

- Bo ufasz niewłaściwym facetom. Zasada numer jeden dla korespondencyjnych narzeczonych: nie ufać nikomu. Z wyjątkiem mnie - dodał z uśmiechem.

- Naprawdę mogę ci zaufać, Cole? - Podniosła głowę i postąpiła krok w jego stronę.

Popatrzył na jej lekko rozchylone, różowe usta i fiołkowe oczy, ocienione długimi rzęsami i zupełnie się zatracił. Zapomniał, dlaczego tu jest i o co go pytała. Wydawało się, że minęły całe wieki, zanim sobie uświadomił, co robi. Nie. Ta kobieta za bardzo go rozprasza. Musi bardziej uważać, kiedy z nią rozmawia.

- Oczywiście - odchrząknął. - Przecież Ethel powiedziała ci, że jestem jak święty Bernard.

Po czym pospiesznie wrócił do recepcji.

- Wydaje mi się, że pytał pan o kogoś o nazwisku Halsey, prawda? - Recepcjonista stukał w klawiaturę komputera. - Nikt taki nie jest zameldowany w naszym hotelu.

Cole poczuł taką ulgę, że aż sam się zdziwił.

- Moja klientka jest z nim tutaj umówiona. - Cole próbował skupić się tylko na swoim zadaniu.

- Sprawdzę jeszcze wiadomości. - Mężczyzna przycisnął kilka następnych klawiszy i uśmiechnął się triumfalnie. - Jest. Wiadomość od pana Roya Halseya dla panny Annie B., odebrana niedawno temu. Annie B. jest pańską klientką, jak przypuszczam.

Annie B.? A więc skłamała. Tylko komu? Jemu czy Halseyowi? Chyba jednak jemu. Trudno sobie wyobrazić, że postanowiła wyjść za Halseya, zatajając przed nim swoje prawdziwe nazwisko.

- Tak, oczywiście. Proszę zapisać mi treść wiadomości. Przekażę jej zaraz.

Tekst był krótki. Halsey przeproszał za to, że spotkanie nie doszło do skutku oraz informował, że będzie czekać na nią przed główną recepcją dzisiaj o ósmej wieczorem.

A zatem - sprawa rozwiązała się sama.

Tylko dlaczego Cole'a dręczyło coraz więcej pytań? I dlaczego wśród obsługi hotelu nie znalazł osoby, która przyjmowała wiadomość od Halseya? I gdzie, u diabła, podziała się Annie?

- Gdzie ona jest?

Zarośnięty nastolatek nadal kiwał się w rytm muzyki, obojętny na wszystko, co dzieje się wokół. Cole schylił się i zdjął mu słuchawki z uszu.

- Pytam, gdzie ona jest?

- Kto?

- Kobieta, która tu siedziała. Ciemne włosy, fiołkowe oczy, czerwona sukienka.

- Ta z wielkimi zderzakami?

- Ta - potwierdził skrzywiony Cole.

- Niezła laska - zachwycił się młodzieniec.

- Gdzie ona jest?

- Poszła sobie.

- Chcesz powiedzieć, że wstała i tak po prostu poszła sobie? - Cole miał ochotę potrząsnąć małolatem.

- No, nie całkiem. Jakiś facet wyciągnął ją stąd z dziesięć minut temu. Od tego czasu jej nie widziałem.

„Brylant jest najlepszym przyjacielem kobiety”. Być może, pomyślała ponuro Annie, ale w moim przypadku powiedzenie się nie sprawdza.

Przynajmniej jeśli chodzi o pierścionek zaręczynowy, który dostała od Quinna Vegi. Trzykaratowy brylant najczystszej wody osadzony na szerokiej, platynowej obrączce. Najprawdopodobniej używany, sądząc po drobnych

zadrapaniach na metalu. Ciekawe, czy Quinn odciął go poprzedniej narzeczonej razem z palcem po to, żeby go odzyskać? Annie nie znosiła tego pierścionka od samego początku. Ale nigdy nie próbowałyby go zastawić, gdyby wiedziała, w jakie kłopoty wpadnie.

Siedziała teraz na twardym metalowym krześle i zastanawiała się, jak uciec. Nie było to proste, biorąc pod uwagę wysokie szpilki i hotelowego ochroniarza z miną rozwścieczonego buldoga, który z bronią u pasa blokował drzwi. To ten facet przeciągnął ją przez cały hol i wprowadził do biura kierownika hotelu.

Biuro było małe, ciasno zastawione segregatorami i roślinami. Cicha klasyczna muzyka sączyła się z głośników, umieszczonych wysoko na ścianie, a w powietrzu mieszał się zapach czosnku i Chanel 5. Ponieważ Annie przekonała się osobiście, że zapach czosnku wydzielał z siebie ponury ochroniarz, perfumami Chanel musiała pachnieć seksowna blondynka, która siedziała za biurkiem.

Blondynka - wnosząc z wizytówki - nazywała się Ingrid Tatę i była kierowniczką hotelu oraz - wnosząc z oprawionej w ramki kolorowej okładki - dawną Miss Sierpnia.

Annie poczuła się zakładniczką króliczka z Playboya.

Absurdalne położenie. I to teraz, kiedy po kilku dniach życia w ciągłym strachu udało się jej odzyskać kontrolę nad sytuacją. Miała plan. Dobry i prosty. Jeśli Rafferty odnajdzie Roya, ona ukryje się na jego ranczu i poczeka, aż Vega pójdzie do więzienia. Potem wróci do dawnego życia.

Tylko że Cole Rafferty nie pospieszył jej na ratunek. Nie zrobił tego, bo go nie było. Typowe. Poszedł sobie, ponieważ nie wpłaciła depozytu. Od początku zauważyła, że jest zły z tego powodu. Za fasadą ozdobioną zniewalającym uśmiechem i aksamitnymi oczami krył się następny mężczyzna, któremu nie można ufać. Powinna domyślić się tego wcześniej.

Teraz musiała sama pokonać Miss Sierpnia.

- Chciałam powiedzieć, że popełniła pani błąd... - zaczęła.

- Zabawne. - W głosie Króliczka nie było nawet cienia poczucia humoru. - Zamierzałam powiedzieć to samo o pani. W hotelu „Regency” nie tolerujemy pewnych rzeczy. Obserwujemy panią od rana. Bruno od samego początku uważał, że zachowuje się pani podejrzanie.

Annie westchnęła z ulgą. A więc nie zauważyli, że spędziła noc na szezlongu w damskiej toalecie. Ani że zamawiała usługi hotelowe, telefonując z wewnętrznego aparatu na półpiętrze. Żaden kierownik hotelu nie uznałby tego za zabawne. A Ingrid Tatę, mimo fryzury i wielkiego biustu, nie wydawała się wcale głupkowskim Króliczkiem. Wręcz przeciwnie - w jej zielonych oczach błyszczała inteligencja, co nie wróżyło Annie niczego dobrego.

- Nie zrobiłam nic złego...

- A kto zmusił naszego pracownika, żeby zastawił pierścionek z brylantem?

- Sam mi to zaproponował. Kiedy zapytałam o lombard, powiedział, że jego brat zajmuje się pożyczaniem pieniędzy pod zastaw i chętnie tu do mnie przyjdzie.

- Dobrze, że się pani przyznaje. Mam tylko nadzieję, że pierścionek nie został ukradziony żadnemu z naszych gości.

- Nie mam się do czego przyznawać! Pierścionek należy do mnie. To prezent od... - przerwała, przypominając sobie w porę, że nie może wymówić nazwiska Quinna, jeśli chce pozostać przy życiu. - ... od mojego eksnarzeczonego. Zerwałam z nim, a on z zemsty zgłosił policji, że pierścionek został skradziony.

- Głodne kawałki - prychnął Bruno.

Annie nie mogła się nadziwić własnej głupocie. Przecież dobrze wiedziała, że Quinn ma kontakty z paserami. Mogła się domyślić, że jej pierścionek też pochodzi z kradzieży.

- To zwykle nieporozumienie - zmieniła front. - Gdyby pani wiedziała, przez co przeszłam podczas ostatnich kilku dni...

- Może sobie pani darować tę żalną historię. Nie pani jedna ma kłopoty. - Ingrid wskazała stos papierów na biurku. - Ja mam na karku Radę Nadzorczą. Kierowanie takim hotelem to też nie jest kaszka z mlekiem...

- I dlatego - wtrącił się Bruno - trzeba od razu dzwonić na policję.

- Chwileczkę! - krzyknęła Annie. Wymanikiurowany palec Ingrid zawisł nad tarczą telefonu.

- Proszę podać mi chociaż jeden powód, dla którego mam nie wzywać policji.

Annie miała ich dużo więcej - w jej sytuacji kontakt z policją był wykluczony. Natychmiast wywąchaliby, co się stało w New Jersey. Jej nazwisko pojawiłoby się w gazetach... A Vega miał swoich ludzi wszędzie. Musiała coś wymyślić. I to szybko.

Na szczęście w tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu.

- Tak. - Ingrid słuchała ze zmarszczonymi brwiami. - Myślę, że lepiej będzie, jak przyślecie go do mnie.

Po chwili ktoś otworzył drzwi. Annie spięła się w sobie, gotowa do ucieczki. Na szczęście nie musiała uciekać - do pokoju wszedł jej wybawca.

Cole nie mógł uwierzyć własnym oczom. Gnębiły go wizje Annie, którą Roy Halsey wywlókł z hotelu za włosy jak brutalny neandertalczyk. Przeszukał cały hotel. Nigdzie jej nie było. Obawiał się, że dziewczyna jest teraz na łasce i niełasce jakiegoś psychopaty. Tymczasem ona siedzi jakby nigdy nic w biurze kierowniczkii hotelu. A na dodatek wbija w niego mordercze spojrzenie.

- Co ty, u diabła, tu robisz? - Podskoczył do niej, kompletnie ignorując uzbrojonego ochroniarza oraz seksbombę za biurkiem.

I wtedy Annie zerwała się i zarzuciła mu rękę na szyję.

- Kochanie! Jednak przyszedłeś. Myślałam już, że cię nigdy nie zobaczę.

Zamrugął oczami. Czy ona powiedziała do niego „kochanie”? Nie mógł skupić myśli, czując miękkie, kobiece ciało.

- Czy pani zna tego człowieka? - zapytała blondynka z wyraźnym niesmakiem.

- To właśnie jest mój narzeczony, Cole Rafferty. Kochanie, poznaj Ingrid Tatę.

- Wydawało mi się, że mówiła pani o byłym narzeczonym.

Cole przenosił spojrzenie z jednej na drugą. Nadal nie rozumiał, co tu się dzieje.

- Narzeczony - powiedziała stanowczo Annie, trącając nieznacznie Cole'a stopą. - Kochanie, proszę, nie złość się już na mnie. Dostałam nauczkę. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Nie wiem, co mnie opętało, kiedy zrywałam zaręczyny.

- Chyba powinnaś pójść do psychiatry - mruknął.

- Wariuję z miłości do ciebie. - Objęła go jeszcze mocniej.

- Ale scena! - skrzywił się Bruno. - Co z policją?

- Jaką policją? - Cole wyrwał się z objęć Annie.

- Dzisiaj rano zawiadomiłem ich o pierścionku, który ta dama chciała zastawić. Kazali ją zatrzymać, kiedy tylko pojawi się po pieniądze.

- Chodzi o pierścionek z brylantem, którego kradzież zgłosiłeś policji - Annie robiła, co mogła.

- Na policji powiedzieli, że mogę liczyć na nagrodę. - Bruno podrapał się w policzek.

Cole spojrział na Annie. Nie wyglądała na złodziejkę. Wprawdzie jego pozbawiła zdrowego rozsądku, ale to zupełnie co innego.

- Dokładnie wiem, co teraz myślisz - zaszcebiotała.

- Bardzo wątpię.

- Cole! - Ścisnęła mu dłoń znacząco. - Nie złość się już. Przecież wiesz, że bardzo lubię ten pierścionek. Po prostu daj tym miłym ludziom nagrodę i zapomnijmy o wszystkim.

- Ja mam dać im nagrodę? - Cole był pewien, że się przesłyszał.

- Sto dolarów byłoby chyba odpowiednią sumą. - Ingrid oparła brodę na dłoniach. - Co o tym sądzisz, Brano?

Bruno pokiwał głową.

- Sto dolarów!? - wykrzyknął Cole z niedowierzaniem.

- Dla każdego - dodał tamten spokojnie.

- Nawet nie mam tyle przy sobie. Najwyżej sto pięćdziesiąt i trochę drobnych.

- W takim razie oddajemy ją w ręce policji. - Bruno nie był człowiekiem skorym do wzruszeń.

- Spokojnie, Bruno. Nie należy działać zbyt pochopnie.

- Ingrid oparta o krzesło mierzyła Cole'a uważnym spojrzeniem. - Jestem pewna, że dojdziemy do porozumienia z panem Rafferty.

- W takim razie po pięćdziesiąt i pierścionek pod zastaw

- zaproponował Bruno.

- Znakomity pomysł. - Ingrid pochyliła się tak mocno w przód, że wszyscy mogli podziwiać jej czarną, koronkową bieliznę widoczną w wycięciu jedwabnej bluzki. - Pan Rafferty doniesie brakującą sumę wieczorem. Około siódmej w barze na dole? Odpowiada to panu?

Cole miał dwa wyjścia - ujawnić blef swojej klientki i pozostawić ją na łasce policji, albo zapłacić pierwszą ratę tej

idiotycznej łapówki i nareszcie wyciągnąć z Annie kilka informacji.

Zrezygnowany sięgnął po portfel.

- Jesteś mi sporo winna. - Cole wyciągnął Annie z pokoju najszybciej, jak mógł. Bał się, że Ingrid i jej cholerny pomagier zmienią zdanie.

- Sam powiedziałeś, że pokrywasz wszystkie nieprzewidziane wydatki.

Stanął w pół kroku i odwrócił się do niej z furją.

- Łapówki nie są nieprzewidzianymi wydatkami! A ja nie mówię o pieniądzach. Jesteś mi winna odpowiedź na kilka pytań, wartych dwieście dolarów.

- Zapominasz, że to ja ciebie wynajęłam. I ja wydaję polecenia.

- Też coś! Bez płacenia nie można nikogo wynająć. Jak na razie to tylko ja jestem w posiadaniu jakiejś gotówki. A ty, okazuje się, masz zwyczaj niepłacenia za nic. Nieważne, czy to jest pierścionek z brylantem, czy moje usługi.

- Nie ukradłam tego pierścionka. - Patrzyła mu wprost w oczy, - Słowo honoru.

Nie chciał jej wierzyć. Szczególnie po pokazie aktorskich umiejętności, których przykład dała przed chwilą. Nie chciał wierzyć, ale uwierzył. Był coraz bardziej ciekawy historii, którą mu opowie.

- Czyżby to znaczyło, że poczciwy Roy para się złodziejstwem? Musicie się pospieszyć, może uda się wam jeszcze uciec i spędzić miodowy miesiąc w Meksyku.

- To nie Roy podarował mi ten pierścionek - zaczęła, ale zaraz dotarło do niej, co powiedział. - Miodowy miesiąc? Czy to znaczy, że odnalazłeś Roya?

Cole chwilę się zawahał. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że należy przekazać jej wiadomość Halseya i zamknąć sprawę. Ale wówczas nie dowie się niczego.

- Jeszcze nie - odpowiedział.

- Nie?! -jęknęła, przymykając oczy. - Co ja teraz zrobię? Bez pieniędzy za pierścionek? W takim razie, co robiłeś przez cały ten czas? - natarła na niego.

- Ratowałem twój tyłek - warknął wściekły. - Gdzie byś teraz była, gdybym cię nie znalazł? Chcę, żebyś odpowiedziała na kilka pytań.

Jednak Annie nie słuchała. Z ustami szeroko otwartymi ze zdziwienia wpatrywała się w coś za jego plecami. Odwrócił się i stanął jak wryty. Dziewczyna z parkingu podprowadzała właśnie jego chevroleta. Automatycznym ruchem sięgnął do portfela i wręczył jej napiwek, ale nie mógł oderwać wzroku od przedniej szyby, która cała pokryta była śladami pocałunków. Dziwnym trafem panienka za kierownicą miała ten sam kolor szminki.

- Chyba nie powinieneś tak jej ośmielać - powiedziała Annie, wsiadając do samochodu, gdy dziewczyna czubkami palców przesyłała Cole'owi pocałunek. - Proszę. Zostawiła nawet swój numer telefonu.

- Wyrzuć go przez okno.

- Nie tylko numer telefonu - Annie z zainteresowaniem przyglądała się kartce. - Jest tu również kilka rysunkowych sugestii dotyczących pierwszej randki. Sam zobacz.

- To wcale nie jest śmieszne - wycodził przez zaciśnięte zęby.

Podejrzewał, że dziewczyna skojarzyła nazwisko, które wyczytała w dowodzie rejestracyjnym, z ogłoszeniem jego taty. I takie smarkule zajmują się studiowaniem ogłoszeń matrymonialnych w gazetach!

- Pewnie, że nie - zgodziła się Annie. - Ona ma najwyżej siedemnaście lat. Zamiast pracować dla mnie, pójdziesz siedzieć w więzieniu za deprawowanie nieletnich.

- A jeśli zapisała sobie mój adres? I przyjdzie do mnie do domu?

- Na wszelki wypadek kup kilka lalek Barbie.

- Wcale mi nie pomagasz. Wszystko wymyka mi się spod kontroli, a ty się śmiejesz. Muszę się zdobyć na jakiś drastyczny krok.

- Zawsze możesz powiedzieć, że jesteś homoseksualistą.

- No, może nie aż tak drastyczny.

Włączył wycieraczki. Szminka rozmazywała się na szybie tłustymi, czerwonymi smugami.

- Tak nie może być! - mruknął, po czym wziął głęboki oddech i zwrócił się do Annie: - Chciałbym ci coś zaproponować.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Co?! - Annie przyłożyła dłoń do czoła. - Chcesz się ze mną ożenić?!

Nie miała gorączki. Czoło było zimne. Więc to nie były omamy słuchowe i Cole Rafferty naprawdę jej się oświadczył?

- Czegoś tu nie rozumiem - ciągnęła. - Nie dalej jak dwie godziny temu powiedziałaś, że to prawdziwe szczęście być kawalerem. I że unikasz kobiet, które za wszelką cenę chcą wydać się za męża.

- To wszystko prawda...

- A teraz mi się oświadczasz? Zawsze myślałam, że to ja jestem impulsywna.

- Nie mam innego wyjścia. - Cole z zażenowaniem potarł kciukiem brodę. - Tak naprawdę, nie chcę się z tobą żenić. Ani z żadną inną. Rzecz w tym, że ojciec postanowił znaleźć mi żonę. I to za wszelką cenę. A swoim ostatnim wybrykiem doprowadził mnie do szału.

- A co on właściwie zrobił?

- Dał ogłoszenie matrymonialne do gazety.

- Może najzwyczajniej w świecie jest samotny?

- Nie napisał o sobie! To ja jestem osobą, która desperacko szuka partnerki.

- O rany!

Annie już dość długo zbierała materiały do artykułu o korespondencyjnych pannach młodych i nie miała wątpliwości, że został zasypany ofertami.

- Ale czy musisz od razu się zaręczać?

- Boję się, że tylko tak uda mi się go spacyfikować. Dlatego jesteś mi potrzebna.

- Jako narzeczona?

- Jasne. Nie taka zwyczajna narzeczona. Chcę, żebyś była narzeczoną z piekła rodem, najgorszą, nieodpowiednią. Taką, której nie można przyjąć do rodziny. Mam nadzieję, że wtedy ojciec skupi całą energię na tym, żeby się ciebie pozbyć.

- Bardzo miła perspektywa. - Annie uniosła brwi do góry.

- A kiedy już zerwiemy - Cole uśmiechnął się szeroko - długo nie zapomnę o tym nieszczęściu. Będę potrzebował dużo czasu, żeby się z tego otrząsnąć. Kto wie - może nawet kilku lat? A ojciec znajdzie sobie inne hobby.

- No dobrze. A co ja będę z tego miała?

- Oprócz, rzecz jasna, czystej przyjemności przebywania w moim towarzystwie, proponuję ci, żebyś u mnie zamieszkała, dopóki nie odnajdę Roya. Ja dostarczam jedzenie, ubranie i inne rzeczy, których będziesz potrzebowała. I nie wezmę od ciebie żadnego honorarium.

Annie zamrugła oczami. W jednej chwili rozwiązały się jej wszystkie problemy. Prawie wszystkie. Quinn nadal czyha na jej życie, ale ona ma się gdzie ukryć.

- A co będzie, jeśli odnajdziesz Roya, zanim zdążysz przeprowadzić swój plan? Nie zapominaj, że ja już jestem zaręczona.

Wzruszył ramionami.

- To dla mnie jedyna szansa - odpowiedział, nie patrząc jej w oczy. - Możesz uznać, że jestem twoim narzeczonym numer dwa. I trochę potrenować.

Właściwie, narzeczonym numer trzy, pomyślała Annie ponuro. Nie bardzo miała ochotę na kolejny związek, nawet jeśli był zupełnie fikcyjny.

- A czego dokładnie ode mnie oczekujesz? - zapytała.

- Chcę, żebyś zmieniła moje życie w piekło. Ojciec jest bardzo staroświecki. Im będziesz większą ekscentryczką, tym lepiej.

- W porządku. To mogę zrobić. Ale musisz wiedzieć, że ja też mam trochę staroświeckie poglądy.

- To znaczy? - Uniósł brwi.

- Nie licz, proszę, na żadne uboczne korzyści. Nie uznaję seksu przed ślubem.

Wygłosiła to samo zdanie nie tak dawno temu, kiedy usłyszała oświadczyzny Vegi. Miała nadzieję, że się wycofa. Nie zrobił tego, ale dzięki temu trzymała go z daleka od swojego łóżka.

- To rzeczywiście bardzo niedzisiejsze nastawienie - mruknął Cole.

Annie nie była pewna, czy w jego głosie usłyszała zawód, czy ulgę.

- Być może - zgodziła się. - Ale tak zostałam wychowana. Jestem katoliczką i Włoszką. Podwójne obciążenie.

- Włoszką? - zareagował natychmiast. - Dziwne. Jones to niezbyt włoskie nazwisko.

Antonio Bonacci! - powiedziała do siebie w duchu. Jesteś najgłupszą kobietą pod słońcem.

- To moja mama jest z pochodzenia Włoszką. Jej dziadkowie przyjechali do Stanów z Mediolanu. Mama jest teraz w podróży poślubnej ze swoim szóstym mężem.

Przynajmniej to było prawdą.

- No, no, no! - gwizdnął Cole. - Była sześć razy mężatką? Musi łamać serca mężczyznom!

Zamilkł na chwilę, a potem rzucił od niechcenia.

- Czy jest jeszcze coś, co powinienem wiedzieć?

O, nie! I tak wiedział zbyt dużo. Nie wolno jej mówić nic więcej, bo zauważy, jak często jej historie nie trzymają się kupy.

- Będę opowiadać ci różne rzeczy na bieżąco.
- W porządku. - Wyciągnął do niej rękę. - Umowa stoi?
- Stoi!

Czując ciepły uścisk jego wielkiej dłoni, Annie wiedziała od razu, że znalazła się w niezłych tarapatach.

- W twojej łazience jest jakaś kobieta! - oświadczył Rex Rafferty, wchodząc do kuchni.

Cole omal nie spadł ze stołka.

- Tato! Skąd się tutaj wziąłeś?

- Przyszedłem zagipsować ci pęknięte ściany w górnej sypialni. Nagle usłyszałem lejącą się wodę. Kiedy wróciłeś?

- Dziesięć minut temu. - Cole z rezygnacją odstawił garnek. Co mu strzeliło do głowy, żeby dawać ojcu klucz do swojego domu?

- Kim jest ta kobieta? - Rex usiadł na taborecie. - I dlaczego jest naga?

- Skąd wiesz, że to kobieta? - Cole wyciągnął z kredensu kilka puszek z zupą i zaczął odczytywać ich daty ważności. - I, co ważniejsze, skąd wiesz, że jest naga?

- Jeszcze umiem rozpoznać nagą kobietę - prychnął Rex. - Nawet przez zaparowane drzwi do kabiny prysznicowej.

- Chcesz powiedzieć, że wszedłeś do łazienki, kiedy Annie brała prysznic!?

- Usłyszałem podejrzaną hałas i poszedłem sprawdzić, czy po domu nie kręci się złodziej. To, że jestem na emeryturze, nie znaczy, że przestałem być detektywem.

- Złodziej? A co by kradł w łazience? Gorącą wodę?

- No dobra. To nie był złodziej. A ja wsadziłem tylko głowę i natychmiast wyszedłem. W łazience i tak jest zepsuty zamek. Nic się nie stało.

Cole zagryzł zęby. Był wściekły, że ojciec podglądał Annie i równocześnie mu zazdrościł. On nie będzie miał

podobnej szansy - dała mu to jasno do zrozumienia. Korciło go, żeby wypytać ojca o szczegóły, ale wiedział, że nie może. Zamiast tego, wyładował na nim swój gniew.

- Tato! Ingerujesz w cudzą prywatność. Jeśli masz ochotę na podglądanie, znajdź sobie dziewczynę!

- W moim wieku? - Rex potrząsnął głową i sięgnął po garść chrupek. - Wolę znaleźć kogoś dla ciebie. Chciałbym już mieć wnuki, które mógłbym psuć do woli.

- Sam znalazłem sobie dziewczynę.

Widząc błysk radości w oczach ojca, Cole poczuł się bardzo podle. Musiał jednak się trzymać. Rex miał na sumieniu więcej sprawek niż ostatnie ogłoszenie. Niedawno zamówił pierwszorzędne dębowe drewno i zaczął budować kołyskę. Nie wiadomo, co jeszcze może strzelić mu do głowy.

- Masz dziewczynę? Czy to znaczy, że w końcu się zakochałeś?

- Ma na imię Annie. - Cole wolał nie odpowiadać na ostatnie pytanie. - Annie Jones.

- Ile ma lat? Nie zauważyłem przez drzwi. Ale muszę powiedzieć, że jest bardzo zgrabna.

Cole przełknął kilka łyków wody. Tak jakby on sam tego nie widział.

- Trzydzieści jeden. Ciemne włosy. Fioletowe oczy. Pochodzi ze Wschodu.

- Trzydzieści jeden. Trochę dużo - marudził Rex. - Ale z drugiej strony jej biologiczny zegar musi już tykać całkiem głośno. Może zaraz doczekam się wnuków.

- Tylko nie mów nic o biologicznym zegarze w jej obecności. Jest bardzo czuła na punkcie wieku.

- Annie Rafferty... Annie Rafferty - powtórzył Rex z zadowolonym uśmiechem. - Bardzo ładnie brzmi.

Słyszając to, Cole dostał gęsiej skórki.

- Ona nazywa się Annie Jones, tato.

- Mam nadzieję, że nie zechce zachować swojego panińskiego nazwiska po ślubie.

- Prawdopodobnie zechce! - wykrzyknął zadowolony Cole. - Chociaż nie. Chyba zdecyduje się na podwójne nazwisko. Wyobraź sobie, nasze dzieciaki będą nazywać się Jones-Rafferty.

To było to! Nareszcie trafił. Ojciec nie znosił podwójnych nazwisk, kobiet z tatuażem i mężczyzn z kolczykiem w uchu. Uznawał wyłącznie tradycyjny podział ról między płciami.

- Musisz wyperswadować jej te bzdury, synu. Inaczej wasze dzieci nauczą się pisać swoje nazwisko, dopiero jak będą miały dziesięć lat!

- Nie mam nad nią żadnej władzy, tato. To wyzwolona, niezależna kobieta. Chciałem, żebyśmy od razu wzięli ślub, ale ona uparła się, że musimy pobyć razem na próbę. - Cole wrzucił sobie do ust kilka chrupek. - Robi ze mną, co chce.

- Jeśli zamieszkaliście już razem, to dlaczego nie macie wspólnej sypialni? - zapytał Rex podejrzliwie. - Przecież wszystkie jej rzeczy są w pokoju zachodnim. Sam widziałem czerwoną koronkową bieliznę porozrzucaną na podłodze.

Cole musiał znowu napić się wody. Na szczęście w tej chwili do kuchni weszła Annie, zawinięta w puchaty, niebieski szlafrok. Wydawała się chodzącą słodyczą i łagodnością. Cole zaklął w duchu na widok rozpromienionej twarzy ojca.

- Pan musi być ojcem Cole'a - zaczęła. - Jestem Annie.

- Mów do mnie Rex. - Wstał i uścisnął jej wyciągniętą rękę.

- Bardzo mi miło. - Usiadła przy stole i zwróciła się do Rexa. - Wchodząc tu, usłyszałam, że pytasz o nasze oddzielne sypialnie.

- Przepraszam. To chyba nie moja sprawa. - Szare wąsy Rexa nie ukryły jego zaczerwienionej ze wstydu twarzy.

- Skądże znowu! - wykrzyknęła Annie. - Przecież wkrótce zostaniemy rodziną, a w rodzinie nie powinno być sekretów.

- Też tak uważam - pokiwał głową zachwycony Rex. Cole zastygł z puszką w ręku. Nie mógł się doczekać wyjaśnienia Annie.

- To wszystko przez moją infekcję - zaczęła.

- Infekcję? - wykrztusił z trudem Rex. Cole wylał zupę na szafkę zamiast do garnka.

- Nie ma się czym przejmować - Annie ruchem ręki uspokoiła Rexa. - To przechodzi. Naprawdę. Ale lekarze radzą celibat w okresie szczególnego nasilenia objawów. Wprawdzie Cole powiedział, że jest mu wszystko jedno, bo przecież wcześniej czy później i tak się zarazi, ale po co zaraz płacić podwójnie za lekarstwa?

Nie wierzył własnym uszom. Sam sobie wyhodował potwora. A jednak plan Annie - jak można było sądzić z osłupiałej miny ojca - był nadzwyczaj skuteczny. Jeszcze trochę, a będzie błagać syna, żeby się nie żenił!

- W jaki sposób... - chrząknął Rex - to znaczy chciałem zapytać, w jaki sposób się poznaliście?

- Dzięki Ethel - zaświergotała.

- Jak to Ethel? Mojej Ethel?

- To państwo są parą?! Jak się cieszę! - Annie z ręką na piersiach wydała głębokie westchnienie ulgi. - Bo już się bałam, że ona i Cole... No wiesz... Szkoda, że nie widziałeś, jak on na nią patrzy!

- Patrzy na nią?! - krzyknął Rex, odwracając się do syna. - Co to ma znaczyć?

- Sam wiesz, jak to jest, Rex - uśmiechnęła się Annie wyrozumiale. - Kiedy dwoje atrakcyjnych, samotnych ludzi spędza ze sobą tak wiele czasu... Starsze kobiety pociągają wielu mężczyzn.

- Co jest między tobą a Ethel? Przecież ona mogłaby być twoją matką!

- Tato! - wydusił z trudem Cole. - To przecież nonsens. Postawił przed Annie miseczkę z zupą. Miał ochotę zatkać jej usta kawałkiem chleba, który trzymał w ręku, ale się powstrzymał. W końcu to on wymyślił narzeczoną z piekła rodem.

- Przepraszam, tato, że nie zapraszamy cię na kolację. Annie jest zmęczona i niczego nie przygotowaliśmy. A ja mam zaraz spotkanie.

- A, prawda - podskoczyła Annie. - Masz randkę z tą kobietą.

- Jak to, randkę? - zmarszczył brwi Rex.

- Spotkanie - wycedził Cole, rzucając Annie ostrzegawcze spojrzenie.

- Tak się zawsze mówi - wydeła usta. - Ale może jestem przeczulona. Miałam złe doświadczenia. Stąd to wszystko. Ale ufam Cole'owi. Chyba nie złamie mi serca.

Przez krótką chwilę wydała się Cole'owi naprawdę słaba i bezbronna. Zły na siebie ruszył do drzwi.

- Jak to? - zdziwił się Rex. - Nawet nie pocałujecie się na do widzenia.

Do diabła, zaklął Cole pod nosem. Ojciec bardzo chciał uwierzyć w niespodziewane zaręczyny, ale przecież nie był głupi. I tak opowieści Annie przekroczyły dopuszczalne normy prawdopodobieństwa.

Annie też musiała zdawać sobie z tego sprawę. Spotkali się w pół drogi. Zarzuciła mu ręce na szyję.

- To może być zaraźliwe - szepnęła mu do ucha.

- Mimo to spróbuję.

Przez chwilę wdychał jej zapach. Poczuł, że wali mu serce i wiedział, że ona, przytulona do niego całym ciałem, też to

czuje. Musiał ją pocałować i odejść, zanim całkiem nie straci głowy.

Pochylił się i dotknął ustami jej warg. Annie rozchyliła wargi. Językiem zaczął delikatnie badać ich wnętrze. To, co miało być zwykłym przedstawieniem, odegranym na pokaz przed Rexem, zamieniło się w namiętny pocałunek. Annie pachniała miętową pastą i jeszcze czymś -jakby korzennymi przyprawami, jak przystało narzeczonej z piekła rodem!

Wpił się w jej usta jak głodomór, który nagle dorwał się do jedzenia, a ona oddawała mu pocałunki z podobnym żarem. I kiedy wydawało się, że zatracili się w sobie na dobre, Annie niespodziewanie odepchnęła go od siebie. Widząc jej zaróżowioną twarz i falującą pierś, przypomniał sobie, że nie są sami.

Cofnął się szybko i rozejrzał po pokoju, ale ojca nigdzie nie było. Najwyraźniej ich pocałunek wydał mu się bardzo przekonujący, skoro wyszedł tak cicho, że go nie usłyszeli.

Nie tylko on. Kiedy Cole odwrócił się, żeby powiedzieć Annie, że przeszli test, okazało się, że poza nim w wielkiej, pustej kuchni nie ma nikogo.

Cole'owi wydawało się, że pierwszy raz w życiu stracił umiejętność właściwej oceny rzeczywistości.

Wszystkiemu winna była Annie Jones, czyli jego narzeczona z piekła rodem, najzdolniejsza aktorka, jaką dotąd spotkał. Kłamała jak z nut, bez mrugnięcia okiem, bez jednego skrzywienia warg - słodkich, pełnych i soczystych. Na myśl o nich zamknął oczy, żeby lepiej przypomnieć sobie ich smak. Nigdy nie zapomni jej pocałunku. Jeśli ktoś tak całuje, nie może udawać...

Ale czy na pewno?

Nie miał wątpliwości, że Annie coś przed nim ukrywa. Nie tylko dlatego, że jej historia zbyt często pruła się na szwach. Było coś w jej oczach - obawa, cień strachu - nie

wiedział jeszcze co, ale poprzysiągł sobie, że odkryje całą prawdę. Jeśli oczywiście nie da się zwieść jej uśmiechowi. Nie mówiąc o pocałunkach, które miały siłę ładunków dynamitowych.

- Spóźnił się pan - powiedziała Ingrid, kiedy ją odnalazł.

- Przepraszam. Nieprzewidziane spotkanie. Czy mogę prosić o pierścionek?

- Najpierw pieniądze. - Rozejrzała się ukradkiem po pustym o tej porze barze.

Cole sięgnął po portfel, zastanawiając się przez moment, czy nie zostanie zaraz otoczony przez gromadę policjantów. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Wręczył jej sto dolarów i odebrał pierścionek. Wytrzeszczył oczy na widok ogromnego brylantu.

- Takie interesy lubię - mrugnęła do niego Ingrid, wsuwając pieniądze do torebki.

- Dorzucę jeszcze dwadzieścia, jeśli odpowiesz mi na kilka pytań.

- Pięćdziesiąt i oddaję się cała w twoje ręce, Cole.

Z rezygnacją sięgnął do portfela. Jak tak dalej pójdzie, będzie zmuszony ogłosić upadłość, zanim rozwiąże sprawę Annie.

- To dotyczy Annie - zaczął ostrożnie.

- Tej twojej narzeczonej? - prychnęła z niechęcią,

- Tak. Ostatnio trochę dziwnie się zachowuje.

- Na przykład zastawia zaręczynowy pierścionek... Kiwnął tylko głową, żeby nie wdawać się w dalsze wyjaśnienia.

- Czy nie zauważyłaś niczego, zanim przyszedłem po nią do ciebie do biura? Może powiedziała coś, o czym warto by wiedzieć?

Ingrid wydeła usta.

- Właściwie to tak. Ale co to było? Niech pomyślę. - Ingrid powoli mieszała słomką swoją margaritę, potem wypła mały łyk i rzuciła mu przeciągłe spojrzenie.

Cole nie miał wątpliwości, że się z nim bawi.

- Nie musi być dosłownie - naciskał.

- Wspominała markę jakiegoś samochodu. To chyba była vega. Tak. Na pewno vega.

- Mówiła o samochodzie? To nie ma sensu.

- Nic, co wtedy mówiła, nie miało sensu. Tak naprawdę, Cole - Ingrid zwilżyła usta czubkiem różowego języka i patrząc mu prosto w oczy, szepnęła: - radzę ci, żebyś przemyślał swoje decyzje. Wydaje mi się, że moglibyśmy się nieźle zabawić we dwoje.

Lubił się bawić. Szczególnie z kobietami w rodzaju Ingrid, która była ładna i bystra, seksowna i nieskomplikowana. O skłonności do małych szantaży można było łatwo zapomnieć.

- Zamówilibyśmy sobie dzbanek margarity. Do pokoju... - Patrzyła na niego przez zmrużone powieki.

Sam nie mógł zrozumieć, dlaczego nie wykazywał entuzjazmu. Propozycja była nęcąca. Ingrid miała ciało bez jednej skazy, gdy tymczasem Annie... Co z Annie?... Annie miała

wyszczerbiony ząb! I wyznawała obcą mu zasadę nieuprawiania seksu przed ślubem. Nie, nie była w jego typie. A jej pocałunek sprawił, że kręciło mu się w głowie.

- Cole? - W głosie Ingrid słychać było lekkie zniecierpliwienie.

- Przepraszam - mruknął. - Jestem teraz zajęty.

Może wróci do tematu, kiedy rozwiąże sprawę Annie i wyrzuci ją z pamięci. Na razie musi pracować. Spojrzał na zegarek. Korespondencyjny narzeczony wyznaczył Annie spotkanie dziesięć minut temu. Co tchu pobiegł do recepcji.

- Proszę sprawdzić jeszcze raz, czy nie ma dla mnie żadnej wiadomości - naciskał, bo recepcjonista zdecydowanie nie miał ochoty na współpracę. - Byłem umówiony z człowiekiem o nazwisku Halsey.

- Już panu mówiłem, że nikogo takiego tu nie było. - Mężczyzna nawet na niego nie spojrział.

- Nie ruszę się stąd Todd - warknął, sprawdzivszy wizytówkę w klapie recepcjonisty - zanim nie sprawdzi pan jeszcze raz.

- No, dobrze. Pan Halsey zostawił wiadomość, ale nie do pana. - Rozwścieczony Todd uniósł kopertę i zaraz ją odłożył. - Jak pan widzi, list jest adresowany do jakiejś Annie.

- To ja. Mam na imię Anatol. Wszyscy mówią do mnie Annie.

- Ale numer. - Todd popatrzył na niego z lekkim politowaniem. - Facet o imieniu Annie musiał mieć naprawdę wspaniałe dzieciństwo.

- Tak. Przez cały czas trzymaliśmy się razem z chłopakiem, który nazywał się Sue.

Wziął kopertę i już miał odchodzić, kiedy przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Jak wyglądał pan Halsey?

- Mam go opisać? - Recepcjonista popatrzył na niego podejrzliwie.

- Ostatnim razem widzieliśmy się z Royem bardzo dawno. Sam nie wiem, czy jeszcze bym go rozpoznał.

- Trudno byłoby go nie poznać - powiedział drwiąco Todd. - Ma ognistorude włosy i końskie zęby. Nie mówiąc już o piegach.

Annie nie wspominała o niczym takim. Ciekawe, czy było jej wszystko jedno, czy Roy przysłał cudze zdjęcie? Znalazł odosobniony fotel i rozerwał kopertę.

- A to co? - Z niedowierzaniem oglądał kwestionariusz wykaligrafowany na kartce.

Pod spodem znajdowała się instrukcja, żeby zostawić wypełnioną ankietę w recepcji hotelu Regency.

- To musi być świr! - powtarzał Cole czytając pytania w rodzaju: „Czy w twojej rodzinie były przypadki chorób psychicznych?“, „Czy umiesz tańczyć fokstrota?“ albo „Jakie znasz języki obce?“.

Żadnego adresu, żadnego telefonu kontaktowego. Nic. To nie był samotny kowboj, który szukał towarzyszkę życia. To było jakiś potwór, który planował każdy krok i nie zamierzał się ujawniać, dopóki nie przeprowadzi tego, co zamierzył.

A może na widok ankiety Annie zrozumie swoją głupotę i nie zechce wyjść za obcego faceta? Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pokazać jej wiadomości od narzeczonego, ale szybko zrezygnował. Musi najpierw sam odnaleźć tego Halseya. Sprawdzić stanowe książki telefoniczne. Pogrzebać w policyjnych rejestrach. Zaplanować następne spotkanie w hotelu.

Było dopiero dwadzieścia po ósmej. Postanowił wstąpić do biura i trochę popracować.

Annie leżała bez ruchu na wielkim łóżu w gościnnej sypialni Cole'a. Wsłuchiwała się w hałasy i trzaski, jakie wydawał z siebie stary dom, zastanawiając się, dlaczego Cole nie robi nic, żeby go unowocześnić.

Było grubo po północy. Cole musiał nieźle się bawić z Miss Sierpnia, skoro nie wracał od pięciu godzin. Widocznie wysokie blondynki z dużym biustem były w jego typie.

Próbowała napisać plan artykułu o mafijnej działalności Vegi, żeby rozesłać go do wydawców czołowych pism, ale nie mogła się skoncentrować. Część wieczoru spędziła,

wyglądając przez okno, teraz wpatrywała się w sufit, bezskutecznie próbując się zrelaksować.

W końcu przed domem rozległ się warkot chevroleta. Usłyszała, jak Cole otworzył drzwi i wszedł do sypialni piętro niżej. Westchnęła i naciągnęła na siebie kołdrę. Przez całe życie wiązała się z nieodpowiednimi mężczyznami. Dzięki nim osiągnęła sukces jako reporterka - co do tego nie miała żadnych wątpliwości. A życie prywatne - groza. Bałagan.

Teraz miała Roya. Nigdy dotąd nie umawiała się z żadnym kowbojem. Więcej - nigdy w życiu nie spotkała żadnego. Czy okaże się, że to mężczyzna dla niej? Być może. Pisał zabawne i ciepłe listy. Miło się uśmiechał, przynajmniej na zdjęciu. I nosił okulary, przez co wydawał się trochę bezbronny.

Trochę przypominał jej Billa - czwartego męża mamy, który był jej ulubionym ojczymem. Pracował jako dziennikarz i wiele ją nauczył. To on poradził jej, żeby nie wiązała się z żadną gazetą na stałe. Stracili kontakt dziewięć lat temu, kiedy mama przerzuciła uczucia na męża numer pięć. Szkoda, bo Annie mu ufała. Może poradziłby jej, co zrobić z życiem. Nie karierą, ale życiem.

Tylko czy jest sens zastanawiać się nad tym właśnie teraz?

Jeśli Vega ją odnajdzie, nie będzie musiała się martwić nieudanymi związkami. Może najwyżej zastanawiać się nad swoim następnym wcieleniem po reinkarnacji.

Westchnęła ciężko. Bardzo chciała być z kimś, komu mogłaby się zwierzyć. Komu mogłaby zaufać. Z kimś, kto zechciałby się nią zaopiekować, kiedy zajdzie taka potrzeba. I kto całowałby tak jak Cole Rafferty.

Z jękiem opadła na poduszkę. Nigdy nie powinna się z nim całować! Nie dowiedziałyby się wówczas, czego można doświadczyć, całując się z kimś naprawdę. I nie miałyby czego żałować. On najwyraźniej nie odczuwał niczego

podobnego. Nawet nie próbował jej odnaleźć, kiedy wybiegła z kuchni.

Potrzebował jej tylko po to, żeby oszukać ojca. Trudno. Skoro chce narzeczonej z piekła rodem, będzie ją miał. Usiadła i zaczęła układać strategię.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Mamy problem - obwieścił Cole, wchodząc rano do kuchni.

- Pewnie, że mamy - odpowiedziała Annie zaspanym głosem i zatrzasnęła drzwi lodówki.

Nieprzytomnymi oczami wpatrywała się w Cole'a. Nawet w tym stanie zauważyła, że jest tylko w podkoszulku i dżinsach z obciętymi nogawkami. Musiała przyznać, że im mniej ma na sobie, tym lepiej wygląda. Niestety. Niełatwo z samego rana zmierzyć się z podobnym widokiem.

- Wyglądasz strasznie - powiedział do niej.

- Wielkie dzięki. Nie jestem typem skowronka. Pomyślała sobie, że mogła chociaż się uczesać.

- To widać. Zjedz coś może.

- No właśnie. Cały problem w tym, że nie ma nic do jedzenia. A ja muszę coś zjeść, żeby zacząć normalnie funkcjonować.

- Niemożliwe. Przecież wczoraj wieczorem zrobiłem zakupy! - Cole otworzył lodówkę i stwierdził: - Jest wszystko.

Annie usiadła przy stole, tłumiąc ziewnięcie.

- Mam na myśli prawdziwe jedzenie.

- A co to jest? - Pokazał jej paczkę kiełbasek. Jęknęła i uderzyła głową o stół.

- To jest ohyda. Słyszałeś kiedyś o nabiale? Owocach i warzywach? Kawie?

- Jeśli potrzebna ci kofeina, napij się pepsi. I zjedz coś. Zaraz poczujesz się lepiej.

Mówiąc to, Cole wyjmował produkty z lodówki. Annie z odrazą przyglądała się jego wersji śniadania - zimnej pizzie z poprzedniego dnia, popijanej wodą sodową. Jak można tak źle się żywić i tak świetnie wyglądać? Trudno. Nie miała wyjścia. Sięgnęła po puszkę i urwała kawałek pizzy. W końcu wszystko jedno, czy umrze po takim śniadaniu, czy po spotkaniu z Vega.

- Mówię o prawdziwych kłopotach. - Dosiadł się do niej.

- Znalazłeś Roya?

- Nie, Ethel.

- Ethel zginęła? - Annie omal nie udławiła się pizzą.

- To byłoby zbyt piękne - westchnął. - Nie, Ethel jest w Denver i dzisiaj wieczorem zjawi się tutaj. Ojciec przyprawdza ją na kolację.

- Kolację? - ożywiła się Annie. - Pójdziemy po porządne zakupy? Przygotuję coś takiego, że szczeka im opadnie.

- Właśnie!

- Co znaczy „właśnie"! Gotuję rewelacyjnie.

- Tego się bałem. Tato zachwyci się tym, że umiesz gotować i wybaczy ci inne wady.

- Jakie wady? - Spojrzała na niego groźnie.

- Wszystkie, z powodu których nie powinienem się z tobą żenić.

- Miałam nadzieję, że infekcja załatwiła sprawę.

- Owszem, ale później trochę przesadziłaś z Ethel. Wymyślaj bardziej prawdopodobne rzeczy.

- To wcale nie jest nieprawdopodobne. Pisałam kiedyś o...

- Ugryzła się w język, ale było za późno.

- A więc jesteś dziennikarką - rzucił Cole mimochodem, żując pizzę.

- Wcale tego nie powiedziałam.

Przestaję się koncentrować, pomyślała. Wszystko z powodu obecności przystojnego mężczyzny.

- Zapomniałaś o moich zdolnościach dedukcyjnych. Jestem znakomitym detektywem.

- Naprawdę? Dlaczego więc nie znalazłeś jeszcze mojego narzeczonego?

- Gdybym wiedział, że jesteś taka miłutka rano, zaprosiłbym ojca na śniadanie zamiast na kolację.

- Nie martw się. Wieczorem też zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Możemy pokłócić się o jedzenie. I nie bierz sobie tego za bardzo do serca - westchnął. - Wszystko będzie dobrze, jeśli Ethel nas nie wsypie. Ona wie, że poznaliśmy się dopiero wczoraj. Jedno jej słowo i cały plan na nic.

- Chcesz powiedzieć, że twój ojciec uwierzy Ethel, a nie tobie?

- Jasne. Ethel nadaje na mnie, od kiedy podłożyłem jej ropuchę w łazience. Miałem wtedy osiem lat. Przyjęła na siebie rolę wstrętnej macochy.

- A co z twoją prawdziwą matką?

Na twarzy Cole'a pojawił się ból. Annie pożałowała pytania. Czasami dobrze byłoby powściągać reporterskie zapędy.

- Przepraszam. Nie chciałam być wścibska.

- Nie szkodzi. - Wzruszył ramionami i pociągnął duży łyk wody sodowej. - Kiedy wyjechałem do Ohio, mama odeszła od ojca. Pracował całymi dniami, a jej chyba znudziło się samotne siedzenie w domu. Mieszka teraz w Taos ze swoim nowym mężem.

- Biedny Rex.

- Najgorsze jest to, że nie zauważył, na co się zanosi. Chyba bardziej dręczy się tym, że nie wykazał instynktu detektywa, niż że okazał się marnym mężem.

- Czy dlatego postanowiłeś nigdy się nie żenić? - Bawiła się puszką i nie patrzyła mu w oczy.

- Nie mam żadnych zadatków na dobrego męża - roześmiał się lekko. - Zamierzam udowodnić to dzisiaj wieczorem. Jeśli Ethel mi w tym nie przeszkodzi.

- Nie martw się. Biorę ją na siebie.

Wieczorem Annie złapała Ethel jeszcze w przedpokoju, i natychmiast zaciągnęła ją do kuchni pod pretekstem, że potrzebuje pomocy w przygotowaniu kolacji.

- Musimy porozmawiać - szepnęła.

- Spodziewam się. - Ethel wydeła usta. - Przecież to niemożliwe, żebyście byli zaręczeni. Poznaliście się dopiero wczoraj.

- Nasze zaręczyny to blef.

- Wiedziałam! - wykrzyknęła Ethel. - Ciekawe, co ten chłopak teraz knuje?

Z drugiego pokoju dobiegły głosy mężczyzn. Annie otworzyła drzwi do spiżarni, wepchnęła tam Ethel i zamknęła drzwi.

- To wszystko dlatego, że Cole próbuje mi pomóc.

- Co przez to rozumiesz?

- Powiem ci, jeśli obiecasz, że nie powiesz ani słowa Rexowi.

Annie, oparta o półkę zapełnioną wyłącznie chipsami, obserwowała minę Ethel.

- Sama nie wiem... Nie mogę kłamać Rexowi.

- Nawet po to, żeby go chronić?

- Czy jesteście w niebezpieczeństwie? - Ethel szeroko otworzyła oczy.

Annie zawahała się przez chwilę, a potem skinęła głową. Instynkt podpowiadał jej, że może zaufać starszej pani. A Annie, przynajmniej w swoich przeczuciach co do kobiet, nie myliła się nigdy.

- Nie mogę zdradzić zbyt wielu szczegółów, ale Cole uznał, że zaręczając się ze mną, zapewni mi najskuteczniejszą ochronę. To nie potrwa długo. Najwyżej kilka dni.

- Kiedy zobaczyłam cię wczoraj w biurze, od razu wiedziałam, że coś jest nie w porządku, ale nie przyszło mi nawet do głowy, że sytuacja jest aż tak poważna. Jednak nadal nie rozumiem, dlaczego nie chcecie powiedzieć prawdy Rexowi.

- Na pewno by się wtrącił, a to zbyt niebezpieczne.

- Może lepiej powiadomić policję? Annie pokręciła stanowczo głową.

- Tylko Cole może mi pomóc. A on przecież był policjantem, prawda?

- I to bardzo dobrym! - Ethel rozpromieniła się z dumy. - Jest bardzo podobny do Rexa.

- Obaj są bardzo inteligentni - potwierdziła Annie z absolutnym przekonaniem.

- Pewni siebie - dodała Ethel.

- Czasem nawet apodyktyczni.

- Straszni z nich bałaganiarze. Jeden i drugi zostawia na biurku okruchy po ciastkach.

- I nie zapomnij dodać, że są uparci.

- Jak osły - przytaknęła Ethel.

- No i obaj są bardzo przystojni. I pociągający. Ethel zamknęła oczy i oparła się o drzwi.

- Rex Rafferty jest najbardziej pociągającym mężczyzną, jakiego poznałam. Czasami żałuję... - Wzięła głęboki oddech i chrząknęła niepewnie. - O Boże! Co też ja mówię?

- Mówisz, że jesteś zakochana w Reksie, przynajmniej tak mi się wydaje.

- To straszne. - Ethel zaczerwieniła się po korzonki włosów.

- Ale to prawda.

- Prawda - szepnęła po dłuższej chwili. - Mimo że jestem za stara, żeby kochać się w kimkolwiek.

- I to dopiero jest straszne. Człowiek nigdy nie jest za stary na miłość. Czy powiedziałaś mu o tym kiedyś?

Ethel otworzyła oczy z przerażenia.

- Oczywiście, że nie. Jak coś podobnego mogło ci nawet przyjść do głowy? Byłby zaszokowany! Przepracowaliśmy razem trzydzieści lat i on nigdy...

- Co wcale nie oznacza, że nie jest zainteresowany. Mężczyzn trzeba trochę ośmielić.

- Jak to ośmielić? - zapytała Ethel z powątpiewaniem.

- Nie powiem ci jak. Nie jestem w tych sprawach ekspertem. - Annie cofnęła się o krok i zmierzyła Ethel od góry do dołu. - Rex prawdopodobnie wciąż widzi w tobie tylko sekretarkę. Lojalną. Skuteczną. Najwyższy czas, żeby dostrzegł także kobietę.

- Miał mnie przed nosem dzień w dzień, przez trzydzieści lat. Jeśli przez cały ten czas nie zauważył we mnie kobiety, nie mam najmniejszych szans.

- Przecież przyprowadził cię tu dzisiaj... Ethel podniosła oczy do nieba.

- Od czasu rozvodu bywam z nim na wszystkich przyjęciach. Potrzebuje pary i już. Ale ani razu mnie nie pocałował. Chyba nie jestem w jego typie. - Ethel przejechała dłonią po siwych włosach związanych na karku w ścisły kok. - Myślałam nawet, żeby się przefarbować.

- Nie. Kolor jest w porządku. Zmieniłabym tylko fryzurę na nieco swobodniejszą.

- A ubranie? Przecież w moim wieku nie można wkładać na siebie tego, co lansują magazyny kobiece.

- Wiesz - Annie przyjrzała się szarobrązowej sukience Ethel - pracowałam kiedyś w piśmie, w którym był bardzo

dobry dział mody. Lansowali pastelowe kolory dla pań po sześćdziesiątce. I dyskretny makijaż.

- Sama nie wiem - potrząsnęła głową Ethel. - Ciągłe mi się wydaje, że dla niego zawsze będę starą, dobrą Ethel. Kiedy odeszła od niego żona, wydawało mi się, że coś może się zdarzyć... Przecież zrobiłabym dla niego wszystko.

Annie zagryzła wargi. Czy Ethel miała szansę u Rexa? Trzeba to przemyśleć, żeby nie wzbudzać w niej próżnych nadziei. Patrząc z jej perspektywy, Rex i Ethel byli dla siebie stworzeni.

- I w tym problem - mruknęła. - Byłaś zawsze na zawołanie. Prowadziłaś jego sprawy, pomagałaś i podtrzymywałaś go na duchu. Uznał to za rzecz oczywistą i przestał cię zauważać.

- Teraz jest za późno na zmiany. - Ethel pokiwała smutno głową.

- Wcale nie. Nie znam się na romansach, ale moja mama nauczyła mnie kilku rzeczy.

- Czyżby była specjalistką od romansów?

- Jakby nie patrzeć, miała sześciu mężów. Na razie.

- Sześciu? Jak ona to zrobiła?

Rozejrzała się po półkach i wzięła w rękę słoiczek miodu.

- Czasami - wręczyła zaskoczonej Ethel miód - mama używa miodu. Innym razem - teraz Annie podała Ethel butelkę - używa octu. Chyba zbyt długo byłaś słodka dla Rexa. Przyszedł czas, żeby spróbować innych smaków.

- Proszę o uśmiech! - wykrzykiwał raz po raz Rex. Annie i Cole tulili się do siebie przed obiektywem w coraz bardziej idiotycznych pozach.

- Rozluźnij się - szepnęła Annie. - Jeszcze chwila i siądziemy do kolacji.

Dobre sobie, pomyślał ponuro Cole. Jak ona w ogóle może mówić teraz o jedzeniu? Siedziała tak blisko, że czuł

każdą wypukłość jej ciepłego ciała... Jedwabiste włosy muskały mu policzek. Nie! Żaden mężczyzna nie wytrzyma czegoś podobnego. Z trudem stłumił jęk, kiedy Annie usiadła mu na kolanach.

- Tato! Dość! - powiedział stanowczo. - Zaraz skończy ci się film.

- Czyżbym była za ciężka? - zażartowała Annie.

- W porządku! - zachichotał Rex. - Zrobiłem pełną dokumentację pierwszej kolacji Annie w naszym gronie. Dla przyszłych pokoleń.

- Skoro mowa o kolacji - Annie zeskoczyła z kolan Cole'a - najwyższa pora siadać do stołu. Jedzenie stygnie. Mam nadzieję, że jesteście głodni.

Cole patrzył z odrazą na nieapetyczną, ciemnozieloną pulpę, która wylądowała na jego talerzu. Annie chyba zbyt mocno wzięła sobie do serca prośbę, żeby nie gotować niczego smacznego.

- Co to jest? - zapytał, grzebiąc widelcem w dziwnym daniu.

- Stary rodzinny przepis - zaśmiała się, podnosząc do ust kieliszek.

- Przepis rodziny Borgiów - mruknął, próbując zidentyfikować jedzenie.

Kolorem przypominało szpinak, ale ten zapach.., Ser limburski? Tak, na pewno ser limburski, który poniewierał się w lodówce od kilku miesięcy.

- Czy w tym jest ser? - burknął.

- Sam się przekonaj, kochanie - droczyła się z nim zadowolona.

- Obawiam się, że skończy się to płukaniem żołądka.

- Rex! Twój syn ma niesamowite poczucie humoru. Zawsze uda mu się mnie rozśmieszyć.

Tymczasem Rex patrzył pożądliwie na wielkie porcje kruchej sałaty z dodatkami, jakie Annie nałożyła sobie i Ethel.

- Czy mam rozumieć, że wy, panie, nie spróbujecie nawet tego... specjału? - zapytał.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała Annie z wyszukaną grzecznością. - My dbamy o linię. Ethel musi być w formie przed konkursem rumby, a ja muszę być w formie dla Cole'a.

Zaśmiała się, przesyłając mu ręką pocałunek.

Rex spojrział ze zdumieniem na swoją byłą sekretarkę.

- Nie wiedziałem, że lubisz tańczyć, Ethel.

- Bardzo lubię. - Ethel wychyliła pół kieliszka wina i dodała: - Nie wiesz o mnie wielu rzeczy, Rex.

Cole zdecydowanie wolałby, żeby rozmowa dotyczyła nie Ethel, ale Annie, a raczej jej całkowitej nieprzydatności do małżeństwa. Nie miał pojęcia, jak zmienić temat. Wpatrywał się w talerz, szukając inspiracji i byłby przysięgł, że zielonkawa breja nagle się poruszyła. A jeśli nie, to poruszy się lada chwila.

- Nie będę tego jeść. - Odsunął talerz.

- Nawet nie spróbowałeś. Chyba specjalnie chcesz mi zrobić wstyd przed swoją rodziną.

Nareszcie! Nareszcie coś się zaczynało. Cole wbił wzrok w Annie.

- Jestem człowiekiem mięsożernym. I lubię ziemniaki.

Nie miałem pojęcia, że możesz podać coś... coś takiego na kolację!

Przy stole zapadła cisza. Annie powoli odłożyła widelec i podniosła oczy. Kiedy skrzyżowali spojrzenia, Cole dostrzegł złośliwy błysk w jej oczach.

- Mam zamiar zmienić trochę twoje nawyki żywieniowe, kochanie. Postanowiłam, że będzie dobrze, jeśli zostaniemy wegetarianami. Przynajmniej na jakiś czas.

- Annie - nie wytrzymał Rex. - Jestem poruszony troską o zdrowie mojego syna, ale żaden mężczyzna nie może funkcjonować, jedząc tylko liście i korzonki. Mam rację, Ethel?

- Oczywiście, Rex - mruknęła Ethel z niepewną miną.

- Ethel? - chrząknęła znacząco Annie. - Czy podać ci ocet?

- Och! - spłoszyła się Ethel. - Tak, bardzo cię proszę - po czym, ignorując podaną sobie butelkę, zwróciła się do Rexa: - Prawdę mówiąc, liście i korzonki są bardzo odżywcze. Trochę witamin i minerałów na pewno by wam nie zaszkodziło.

- Myślisz, że to też jest zdrowe? - Cole z odrazą popatrzył na bezkształtną masę na swoim talerzu.

- Nawet tego nie spróbowałeś - prychnęła Ethel. - Nie bądź taki ograniczony. Zupełnie jak twój ojciec.

- Ograniczony? Uważasz, że ja jestem ograniczony? -Rex osłupiał.

- Nnnie... nie to miałam na myśli - zająknęła się - tylko...

- Poproszę o ocet! - zawołała Annie.

Ethel podała jej ocet i biorąc głęboki oddech, dokończyła:

- Zdarza się, że nie chcesz nawet spojrzeć na nowe i niezwykle fascynujące możliwości, które się przed tobą otwierają, tylko dlatego, że wygodnie ci powtarzać to, co robiłeś od wieków.

Cole nie wierzył własnym uszom. Ethel jeszcze nigdy nie przeciwstawiła się jego ojcu! A teraz celowo wyprowadza go z równowagi. Kątem oka dostrzegł, że Annie lekko się uśmiecha. Coś tu brzydko pachnie, pomyślał. I na pewno nie danie, które stygło mu przed nosem.

Popatrzył na Rexa, który bez słowa gapił się na Ethel. Był tak zaskoczony jej zachowaniem, że kolacja przestała być dla niego ważna. Trzeba mu pokazać, jak uparta potrafi być Annie.

- A zatem nie zostaniemy wegetarianami - powiedział głośno i dobitnie.

- Właśnie, że zostaniemy! - wykrzyknęła z błyskiem w oku.

Widać było, że postanowiła wygrać te potyczkę.

- Prawdę mówiąc, postanowiłem w ogóle przestać jeść jarzyny. Będę mięsorianinem.

- Kim? - Zacisnęła usta, żeby się nie roześmiać.

- Mięsorianinem. Od tej chwili nie dotknę sałaty ani szpinaku, ani fasolki, ani niczego podobnego.

- Tak wielkie uczucie żywisz do hamburgerów? Będziesz musiał czerpać pociechę z ich towarzystwa, bo mnie też nie dotkniesz.

Wzruszył ramionami, żeby pokazać, że nic sobie nie robi z jej gróźb. Ale natychmiast zaczął myśleć o wczorajszym pocałunku. I o tym, jak cudownie było trzymać ją w ramionach. Bezwiednie popatrzył na jej usta. Chciałby pocałować je jeszcze raz - dzisiaj. Nie - teraz, natychmiast, przy wszystkich. W końcu udają przecież zakochaną parę. Zakochani zawsze w ten sposób okazują uczucie.

Zmiał serwetkę i odrzucił ją na stół. Odsunął krzesło i już miał wstać, kiedy na ramieniu poczuł rękę ojca.

- Powstrzymaj złość, synu. To nie jest powód, żeby wstawać od stołu.

- Ja tylko... - zaczął zniecierpliwiony.

Chciał podejść do Annie i pocałować ją z całych sił. Rex nie miał zamiaru go słuchać. Z poważną miną zwrócił się do Annie:

- Rozumiem cię, Annie - pokiwał głową - ale ty też musisz zrozumieć, że mój syn nie lubi, żeby nim dyrygować. Wszyscy mężczyźni w rodzinie Raffertych są niezależni...

- Uparci jak muły - dodała Ethel pod nosem.

- Co powiedziałaś, Ethel? - zdumiał się Rex.

Ethel zaczerwieniła się i spuściła oczy, żeby przyjrzeć się swojej sałacie, ale po chwili zebrała się w sobie.

- Myślę, że Annie ma rację. - Zmrużyła oczy i popatrzyła na Cole'a. - Ten chłopak żywi się koszmarnie. Zaczął zażerać się tym wysokocholesterolowym świństwem, od kiedy nauczył się sam trafiać do najbliższego fastfoodu. Przyda mu się trochę jarzyn.

Cole poczuł, że burczy mu w brzuchu z głodu.

- Czy mogę spróbować trochę waszej sałaty? - zapytał z nadzieją w głosie. - Postanowiłem pójść na kompromis.

- O, nie! - potrząsnął głową Rex. - Żadnych kompromisów. W małżeństwie tylko jedna osoba nosi spodnie.

- Daj spokój, Rex! - Ethel cisnęła serwetkę na stół. - Kobiety noszą spodnie od ponad trzydziestu lat. A właściwie, dlaczego ja się dziwię?

Cole za nic nie mógł zrozumieć, w jaki sposób jego sztuczne potyczki z Annie przekształciły się w regularne starcie pomiędzy Ethel a ojcem. Przez trzydzieści cztery lata nie zdarzyło mu się być świadkiem czegoś podobnego.

- Kobieta nie może dyktować mężczyźnie, co ma robić - upierał się Rex.

Ethel uniosła podbródek.

- Kobieta nie może - powiedziała - patrzeć obojętnie, kiedy mężczyzna, którego kocha, zachowuje się jak uparty głupek.

- Nazywasz mojego syna głupkiem?

- To nie jego wina. - Ethel jednym łykiem wysączyła następny kieliszek wina. - Takie rzeczy są dziedziczne.

- Ethel, wydaje mi się, że nie powinnaś więcej pić. - Rex usunął butelkę z jej zasięgu.

- A mnie się wydaje, że nie masz prawa mówić mi, co mam robić.

- Jestem twoim szefem.
- Jesteś moim byłym szefem.
- Bardzo was przepraszam - wtrącił się Cole - ale Annie i ja też mamy kilka spraw do omówienia.

Ethel spojrzała na niego tak, jakby znowu podłożył jej żabę.

- Cole'u Rafferty! Dobrze wiesz, że tej dziewczynie chodzi tylko o twoje dobro. To ty jesteś winien całej tej kłótni. Nie trzeba było krytykować jej kuchni.

- A ja chciałam tylko zrobić dobre wrażenie. - Annie wytarła serwetką wyimaginowane łzy.

Widząc to, Rex natychmiast zmiękł.

- Liczą się dobre chęci - poklepał ją po ręce. - Nie przejmuj się. Następnym razem pójdzie ci lepiej, zobaczysz.

Cole miał ochotę wyć. I znowu tyle wysiłku na nic. Rex miał zachęcać go do zerwania zaręczyn, a tymczasem zachęca doktor Annie Frankenstein do dalszych kuchennych eksperymentów. I to bardzo skutecznie. Ciężko westchnął, słysząc, jak woła.

- Kto ma ochotę na deser?

- Czy ty słyszałaś, co oni wygadywali? Jak to w ogóle było możliwe? - zapytał Cole, pomagając Annie sprzątać ze stołu.

Goście wyszli przed chwilą, prawie wcale nie odzywając się do siebie. Cole nie mógł zrozumieć, dlaczego ojciec tak bardzo przejmował się Ethel. Przecież to Annie była problemem. To jej nie należało przyjmować do rodziny! A tymczasem on uwiecznił ją na kilku następnych zdjęciach.

- Kolacja okazała się katastrofą. - Annie ze szczęśliwym uśmiechem wyrzucała do śmieci resztki jedzenia. - Powinieneś być zadowolony. Mam nadzieję, że nic mu nie zaszkodzi. Biedaczek! Zjadł cały deser tylko dlatego, że nie chciał robić mi przykrości.

- Tym się nie martw, ojciec ma żołądek jak struś. Zresztą mama też beznadziejnie gotowała. Równie dobrze dzisiejszy wieczór mógł obudzić w nim czułe wspomnienia z młodości. Ale nie to jest najważniejsze. Czy ty rozumiesz, co się stało z Ethel?

- Miłość.

- Słucham?!

- Ethel jest zakochana. Czy to tak trudno zrozumieć? - Annie popatrzyła na niego z góry.

- Zakochana? W kim?

Niemożliwe. Ethel kochała dyktafon, rachunki, ale nie żywego mężczyznę. Niemożliwe! Pracował z nią na tyle długo, że znał chyba wszystkie szczegóły jej prywatnego życia.

- Jak to w kim? W twoim ojcu, oczywiście.

Cole ryknął śmiechem. Annie Jones była wprawdzie jedną z inteligentniejszych kobiet, jakie spotkał w życiu, ale najwyraźniej nie wiedziała nic o miłości. I może to wyjaśniało fakt, że postanowiła wyjść za całkiem obcego mężczyznę.

- To idiotyczne. - Pokręcił głową. - Nigdy nawet z nim nie flirtowała. Ona chyba w ogóle nie wie, co to znaczy flirtować.

- Nie wie - odpowiedziała Annie spokojnie i odkręciła wodę. - Ale zrobimy wszystko, żeby się dowiedziała.

- My?!

- Pomyśl chwilę, Cole. Jeśli Rex zajmie się Ethel, to przestanie wtrącać się do twojego życia. A tego właśnie chcesz.

- To prawda. Ale dlaczego ma zajmować się akurat Ethel? Między nimi nic nie iskrzyło. Nigdy.

- Dzisiaj zaiskrzyło. Sam widziałeś.

Przyjrzał się Annie, która jakby nigdy nic zmywała naczynia.

- Maczałaś w tym palce, Annie, przyznaj się.

- Zasugerowałam jej to i owo.
- Co na przykład?
- Cole! Nie mogę zdradzać ci wszystkich moich intymnych sekretów.

Spoważniał natychmiast.

- Jak dotąd nie zdradziłaś mi żadnego ze swoich sekretów. A jestem pewien, że masz ich sporo.

- Rozmawiamy teraz o Reksie i Ethel. Myślę, że będzie z nich świetna para.

- A ja myślę, że próbujesz zmienić temat.

- Cole! - Annie zakręciła wodę i powoli odwróciła się twarzą do niego. - Wiesz o mnie tyle, ile potrzeba. Nasza... umowa potrwa krótko. Kiedy znajdziesz Roya, zniknę na dobre.

- A co się stanie, jeśli go nie znajdę?

- Nie biorę czegoś podobnego pod uwagę.

- Zawsze istnieje taka możliwość.

Powinien się przyznać, że ma wiadomości o Royu. Tak postępują profesjonaliści. Jednak ciekawość przeważała. Annie Jones zaintrygowała go tak bardzo, że chciał dowiedzieć się o niej wszystkiego. Miał nadzieję, że w ten sposób uwolni się od dziwnej fascynacji jej osobą.

- Jeśli nie znajdziesz Roya - odpowiedziała nienaturalnie spokojnym głosem - będę musiała zastosować plan B.

- Na czym polega plan B?

Westchnęła i zabrała się znowu za zmywanie.

- Powiem ci, jak tylko go wymyślę.

- Annie! Dlaczego nie opowiesz mi całej prawdy? O co naprawdę chodzi z Royem? Dlaczego chcesz za niego wyjść?

- Podejrzewam, że z tego samego powodu, dla którego ty nie chcesz się żenić - odpowiedziała po długiej chwili milczenia.

- A co to za powód? - zapytał zupełnie zaskoczony.

- Strach. Boję się, że mam coraz mniej czasu.
- A ja? Co to ma wspólnego ze mną?
- Ty boisz się zobowiązań. Odpowiedzialności. Dojrzałości.

- Chyba minęłaś się z powołaniem. Powinnaś zostać psychoterapeutką, a nie reporterką. Ja nie boję się niczego.

- Skamieniałeś ze strachu na widok mojego deseru - zaśmiała się kpiąco.

- To nie był strach, tylko instynkt samozachowawczy.

- Naprawdę niczego się nie boisz? A bomby? Jadowite żmije? Wycelowana w ciebie broń?

- Traktuję je z należnym respektem i zachowuję bezpieczną odległość. Tak samo jest z małżeństwem.

- Bardzo zabawne. Ale wciąż nie mówisz, dlaczego nie chcesz się żenić.

Jakim cudem rozmowa zboczyła na tematy dotyczące jego prywatnego życia? Nawet nie zauważył, jak i kiedy to się stało. Nie lubił takich niespodzianek, tak samo jak nie lubił dzielić się z nikim swoimi poglądami na małżeństwo. Tym razem postanowił jednak złagodzić narzucone sobie zasady. Być może Annie otworzy się przed nim, kiedy on zrobi to samo?

- Nie znoszę rozwodów - powiedział. - Nie ma małżeństwa, nie ma rozwodu. Stosuję więc środki zaradcze.

- Nikt ich nie lubi - wzruszyła ramionami. - To żadna odpowiedź.

- Nieprawda - upierał się. - Pamiętaj, że pracowałem kiedyś w policji i wiele widziałem. Najczęściej spotykany krajobraz po rozwodzie to wzajemne oskarżenia, złość, ubóstwo, dzieci wmieszane w przepychanki rodziców. To nie jest miłe. Lepiej się nie żenić.

- Masz rację, jeśli chodzi o rozwody. Nawet nie próbuję zaprzeczać. Ale nie wszystkie małżeństwa tak się kończą. Jesteś strasznym pesymistą.

- A ty straszną fantastką. Tylko że twoje fantazje o idealnym małżeństwie mogą zmienić się w koszmar, jeśli Roy okaże się świrem...

- Sama sprawdzę, czy jest świrem. Ale w tym celu musisz mi go znaleźć.

- A potem będziecie żyli długo i szczęśliwie, tak? Tak to sobie wyobrażasz?

- Taki mam plan - odpowiedziała, nie patrząc na niego. Co ona przed nim ukrywa? Był pewien, że to coś bardzo

ważnego. Powoli wyszedł z kuchni. W obecności Annie nie umiał się skupić. A teraz skupienie było mu potrzebne bardziej niż kiedykolwiek. Zwłaszcza że zlecająca sprawę klientka nie miała do niego zaufania.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Trzy dni minęły tak spokojnie, że Annie zaczęła się denerwować. Lekarstwem na stres były kąpiele w wielkiej wannie w gościnnej łazience Cole'a. Biała piana otaczała ją ze wszystkich stron jak kołderka. Powoli ustępowało napięcie ostatnich kilku miesięcy, podczas których udawała narzeczoną gangstera. Z perspektywy łazienki to wszystko wydawało się snem. A właściwie sennym koszmarem.

Od kiedy udało się jej zdobyć notatnik Vegi, ten wpadł w furię. Brutalne pobicie jej fotografa miało być ostrzeżeniem dla niej. Przesłanie było jasne. Dlatego uciekła. Notatnik przyjechał z nią do Kolorado i został bezpiecznie schowany pod materacem w jej pokoju. Był bezcenny, ponieważ zawierał informacje, dzięki którym Quinn Vega mógł powędrować za kratki.

Annie musiała pozostać przy życiu i do tego doprowadzić. Dlatego tak bardzo zależało jej na ranczu Roya. W odludnym miejscu napisze artykuł. Na razie miała tylko surowy materiał. Potrzebowała czasu, żeby z różnych kawałków i strzępów informacji złożyć całość. Być może uda się jej wyjść z ukrycia, kiedy wszystkie lewe interesy Vegi wyjdą na jaw?

Nie tęskniła jeszcze za rodziną i przyjaciółmi w Newark ani oni nie tęsknili za nią - przywykli do jej częstych nieobecności. Ale co się stanie, jeśli będzie ukrywać się dłużej? Miesiące? A może lata?

Wzdrygnęła się na myśl o tym. Odkręciła kran z gorącą wodą, zamknęła oczy i zanurzyła się głębiej w wannie.

Słodka dekadencja, pomyślała. Leżę tu jak rozkapryszona księżniczka, a Cole ciężko pracuje. Pracuje? Czy aby na pewno? Wprawdzie twierdzi, że zajmuje się wyłącznie jej sprawą, ale jak dotąd niczego nie zrobił. Znalezienie kowboja w Kolorado nie powinno być trudne. Są na to sposoby. Nieraz poszukiwała ludzi, którzy mogli przydać się jej do reportaży.

Albo nie mówił jej wszystkiego, albo był marnym detektywem.

Nagle pukanie do drzwi łazienki przerwało te dywagacje.

- Annie? - usłyszała głos Cole'a. - Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale w salonie jest pewien facet, który chciałby się z tobą spotkać.

Roy. Annie głośno przełknęła ślinę. Cole znalazł jej narzeczonego. Narzeczonego numer dwa, oczywiście. Niech ją Bóg zachowa przed spotkaniem z narzeczoną numer jeden. Quinn Vega był nieprzytomnie zazdrosny.

- Annie? Czy wszystko w porządku?

- Oczywiście. Zaraz schodzę.

A zatem koniec. Koniec fałszywych zaręczyn. Koniec z kąpielami w pianie. Koniec spotkań z Cole'em. Nagle perspektywa wyjazdu na ranczo przestała jej się podobać.

- Annie?

- Idę

Weź się w garść, nakazała sobie. Szybko wskoczyła w dzinsową spódniczkę i sandały i przeczesła palcami mokre loki. Wytarła parę z lustra, żeby sprawdzić, jak wygląda, po czym wyszła do Cole'a, który czekał na nią na podeście schodów.

- Pięknie pachniesz. - Pociągnął nosem.

- Dzięki. To ten truskawkowy płyn do kąpieli, który kupiłam wczoraj... za twoje pieniądze... Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować. Za ciuchy i wszystkie inne rzeczy, które od

ciebie mam. I za to, że mogłam tu zostać... Nie dałabym sobie rady bez ciebie.

Nagle zdała sobie sprawę, jak wiele mu zawdzięcza - obcemu mężczyźnie, którego poznała zaledwie kilka dni temu. Łzy zakręciły się jej w oczach.

- Hej! - Delikatnie otarł kciukiem mokry policzek. - A to co?

Cofnęła się o krok i z wielkim trudem zdobyła się na coś w rodzaju uśmiechu.

- Nic. Tęsknię za domem. Przejdzie mi.

- I to wszystko? - Badał ją uważnym spojrzeniem.

- Jasne.

Przecież nie mogła powiedzieć głośno, że martwi ją perspektywa rozstania z Cole'em. Znała go za krótko, żeby martwić się czymś takim. Znała go tak krótko, że nie zdążyła jeszcze poznać jego wad, a musiał je mieć. Wszyscy mężczyźni w jej życiu mieli wady. Chyba powinna się cieszyć, że wyjeżdża, zanim dowie się najgorszego.

- Annie? - Cole był zaskoczony jej dziwnym zachowaniem. - Powiem mu, żeby przyszedł później. Przepraszam, że przyprowadziłem go bez uprzedzenia.

- Nie, nie. Wszystko jest w porządku. - Starła się mówić wesołym i pewnym głosem. - Prowadź.

Schodząc za nim po schodach, obserwowała z przyjemnością jego swobodne ruchy, długie kroki, ruch bioder i umięśnione plecy widoczne pod sportową, sztruksową koszulą. Przymknęła oczy, żeby tak go zapamiętać, i natychmiast się potknęła.

- Tak bardzo się spieszysz? - Cole podtrzymał ją w samą porę.

- Nie spieszę się. Jestem po prostu ciekawa... - urwała, bo weszli do salonu.

Mężczyzna, który wstał na ich widok, był niewysoki, mocno zbudowany, ale muskularny, nie krępy. Ciemne włosy, ostrzyżone tuż przy skórze podkreślały ostre rysy twarzy. Był atrakcyjny, chociaż Annie czuła, że ją onieśmiela. I z całą pewnością nie był Royem.

- Sierżant Mateo Alvarez z komendy policji w Denver - powiedział Cole. - Mart, to Annie Jones.

- Miło mi panią poznać - uśmiechnął się Matt, przyglądając się jej uważnie.

Policja?! Annie odetchnęła głęboko, żeby uspokoić nerwy. Vega nie mógł przekupić wszystkich policjantów w kraju!

- Siadajcie. - Cole wskazał ręką.

Sierżant Alvarez rozsiadł się natychmiast w beżowym fotelu. Annie zauważyła, że czuł się tutaj jak w domu. Nic dziwnego, bo atmosfera w salonie Cole'a, umeblowanym z wielkim wyczuciem starymi oraz zupełnie nowoczesnymi meblami, wydawała się sprzyjać towarzyskim spotkaniom.

- Co pan tu robi? - zapytała Annie ostro. Wiedziała, że jest niegrzeczna, ale musiała się dowiedzieć,

o co chodzi. Czyżby Quinn zgłosił na policję jej zaginięcie i Alvarez wytropił ją tutaj?

- Cole prosił, żebym wpadł.

- Po co? - Odwróciła się gwałtownie do Cole'a.

- Przypomniałem sobie o twojej skradzionej torbie. Matt to mój stary przyjaciel. Jego ludzie mogą coś w tej sprawie zrobić - wyjąkał, zaskoczony jej reakcją.

Torba! Chodziło o torbę? Śmiertelnie ją przestraszył tylko po to, żeby zgłosić kradzież? Miała ochotę rzucić się na niego z pięściami.

- Wiem, Matt, że minęło sporo czasu, ale w środku były jej wszystkie pieniądze, karty kredytowe, prawo jazdy.

Prawo jazdy! Annie poczuła, że oblewa się potem. Jeśli Alvarez znajdzie torbę, natychmiast wyjdzie na jaw jej

prawdziwe nazwisko! Ze strachem patrzyła, jak wyjmuje z kieszeni mały notatnik.

- Kiedy to się stało? - zapytał.

- Mniej więcej tydzień temu. - Nie chciała być zbyt dokładna.

- Sześć dni temu - uściślił Cole. - Na lotnisku w Denver.

- Czy umiałaby pani opisać sprawcę?

Czy umiałaby? Oczywiście, że tak. Bardzo dobrze pamiętała drobną blondynkę z zielonymi pasemkami we włosach i z blizną nad prawą brwią.

- Wysoki mężczyzna z ciemną brodą - wymyśliła na poczekaniu. - Niewiele pamiętam, bo stało się to całkiem niespodziewanie.

- Rozumiem. - Sierżant popatrzył jej w oczy. - To musiał być szok dla pani.

Skoro według niego kradzież torebki była szokiem, ciekawe, jak zareagowałby na ostatnie wydarzenia w jej życiu...

- Tak - uśmiechnęła się sztucznie.

Wydawało się jej, że Matt spojrzał znacząco na Cole'a, zanim zapisał coś w notesie.

- Postaram się odnaleźć tę torebkę, ale nie mogę niczego obiecać.

- Dziękuję - powiedziała, życząc sobie w duchu, żeby mu się nie udało.

Jeśli Quinn ma trafić na ślad jej kart kredytowych, niech lepiej złapie złodziejkę, a nie swoją byłą narzeczoną. Wstała.

- Przepraszam panów, ale wracam na górę. Jeśli natychmiast nie wysuszę włosów suszarką, będę mogła straszyć dzieci.

Zaśmiali się obaj, ale Annie miała wrażenie, że Alvarez przejrzał jej kłamstwo. Pobiegnęła na górę najszybciej jak

umiała i zamknęła się w sypialni. Chyba nadszedł czas na plan B.

- I co myślisz o tym wszystkim? - zapytał Cole, kiedy za Annie zamknęły się drzwi.

Matt miał prawdziwy instynkt. Był świetnym policjantem. Czasami przypominał Cole'owi jego dawnego partnera z Ohio, Nicka Chamberlina. Oprócz instynktu, obaj mieli głowę na karku.

- Niezła sztuka. - Matt oparł się i wyciągnął nogi. - Trochę znerwicowana. Co z nią?

Dobre pytanie. Rzecz w tym, że Cole nie umiał na nie odpowiedzieć. Wiedział na przykład, że lubi popcorn z dużą ilością masła, ale bez soli. I że kocha kąpiele w pianie. Mógłby wymienić programy telewizyjne, które ogląda. Ale niewiele ponadto.

- Ma trochę kłopotów.

- Mam nadzieję, że nic poważnego. - W oczach Matta błysnęła ciekawość.

Cole wzruszył ramionami. Co można powiedzieć o kobiecie, która postanowiła wyjść za obcego faceta? Że zwariowała?

- Pomagam jej wyprostować to i tamto.

- Jak się spotkaliście?

- Pojawiła się u mnie w biurze - uśmiechnął się Cole. - Zainteresowała mnie jej sprawa.

- Powiedz lepiej, że to ona cię zainteresowała - parsknął śmiechem Matt. - Zapominasz, że znam cię nie od dzisiaj. Zawsze miałeś słabość do pięknych kobiet.

- Annie jest niepodobna do innych kobiet. Nie udało mi się odkryć jej sekretów.

Mówił szczerą prawdę. Najpierw zaintrygowała go aura tajemnicy wokół niej. Teraz doszło do tego jeszcze coś. Na przykład uśmiech. Niezwykły kolor oczu. To, jak wyglądała

po wyjściu z kąpielni. Chciałby jej dotknąć i bał się, że kiedyś nie zdoła się powstrzymać.

- Całe życie przed tobą, bracie. Zdążysz je odkryć. Czy można już składać wam gratulacje?

- Co? - zachłysnął się Cole. - Słyszałeś o... o naszych zaręczynach?

- Przeczytałem o nich w dzisiejszej gazecie.

- Co?! - Cole zerwał się na równe nogi i pognął do drzwi. Wyjął ze skrzynki gazetę i zaczął ją pospiesznie kartkować w poszukiwaniu rubryki towarzyskiej.

- O rany! - jęknął głośno.

- Zatkalo mnie, kiedy to zobaczyłem. Cole Rafferty się żeni. Nikt by w to nie uwierzył.

Cole nie odpowiadał. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w zdjęcie, na którym rozpromieniona Annie uśmiechała się do niego, a on... On miał minę zakochanego idioty. Miał nadzieję, że nie zawsze tak wygląda, kiedy jest obok niej.

Ojciec znowu wyciął mi numer, pomyślał, wyrywając z gazety stronę ze zdjęciem. Wolał, żeby Annie tego nie widziała.

- Żal mi wszystkich kobiet - westchnął Matt komicznie - którym złamałeś serce tym ogłoszeniem. Oczywiście, gdyby któraś z nich potrzebowała rady albo pocieszenia, przyślij ją do mnie. Chętnie służę pomocą.

- Masz to jak w banku. - Cole cisnął gazetę na stół.

Nagle rozchmurzył się.

- Jeśli będę miał szczęście, Roy też to przeczyta i wtedy pojawi się tutaj na pewno.

- Kto to jest Roy? - zapytał Matt.

- Dobre pytanie. Sam chciałbym wiedzieć.

Około północy Annie podjęła decyzję. Nie była zadowolona z rozwiązania, które wymyśliła, ale zdawała sobie

sprawę, że nie ma innego wyjścia. Musi poprosić o pieniądze swojego ojca.

Trudno. Matka podróżowała gdzieś po Włoszech z mężem numer sześć, siostra nigdy nie uzbierałaby potrzebnej sumy. Zresztą, telefon o północy wprowadziłby je obie w popłoch, a tego Annie nie chciała.

Tymczasem ojciec nigdy nie martwił się ani o jej siostrę, ani o nią. Miała trzy lata, kiedy rodzice się rozwiedli i od tego czasu widziała go zaledwie kilka razy. Nie pojawił się nawet na uroczystości wręczania dyplomów po studiach, które ukończyła z wyróżnieniem, ponieważ wyjechał na konferencję prawników.

George Bonacci był pierwszym mężczyzną, któremu nauczyła się nie ufać. Teraz musiała prosić go o pomoc. Nie mogła mieszkać dłużej u Cole'a. Zaczęła się do niego przywiązywać. Śmiać się z jego dowcipów. Mieć poczucie bezpieczeństwa. Myśleć o następnym pocałunku. Słowem - powoli zaczęła się w nim zakochiwać.

Wiadomo, jak kończą się u niej takie stany. Nie mogła pozwolić sobie na kolejne rozczarowanie. Nie w chwili, kiedy z trudem panuje nad swoim życiem.

Zagryzła zęby i wykręciła numer. Będzie rozmawiać krótko. Postara się być miła. Potrzebuje tylko niedużej pożyczki, żeby zamieszkać w tanim motelu, dopóki nie odnajdzie Roya. Na szczęście Vega nie wiedział nic o ojcu, nie trafi więc na jej ślad.

Kiedy wydawało się jej, że już całkiem zapanowała nad nerwami, w słuchawce usłyszała informację: „Nie ma takiego numeru”.

- Cholera! - mruknęła.

Albo się wyprowadził, albo zmienił numer, nie informując o tym żadnej z córek. Jakie to do niego podobne...

Nie miała pojęcia, co robić. Bezradnie wpatrywała się w telefon. Gdyby tylko mogła się komuś zwierzyć. Tylko jedna osoba wiedziała o jej kłopotach, ale... Annie przełknęła ślinę i drżącym palcem nakręciła numer.

- Nie możesz spać? - rozległo się za nią. Podskoczyła przerażona. Słuchawka wypadła jej z rąk.

- Cole! Przestraszyłeś mnie!

- Przepraszam. Nie chciałem.

Cole miał na sobie niebieski szlafrok, związany luźno paskiem i rozchyłony na piersiach pokrytych jedwabistymi włoskami.

- Ja... ja... - Uciekła wzrokiem i gorączkowo próbowała wymyślić sensowną odpowiedź. - Chciałam zamówić pizzę. Ale o tej porze już nie dostarczają.

Przez chwilę bez słowa patrzył na telefon.

- Jesteś głodna po tej wytwornej kolacji, którą nam zaserwowałaś?

- Trudno zaliczyć paluszki rybne do wytwornego jedzenia - uśmiechnęła się mimo woli.

- A mnie się wydaje, że najlepiej udał ci się sos. Bardzo żałowałem, że nie kupiłaś więcej tych plastikowych pojemniczków.

- Kiedyś przygotuję ci prawdziwe jedzenie, i wtedy zobaczysz!

- Masz ochotę na coś pysznego? Zaraz ci zrobię nocną przekąskę. - Posadził ją na krześle. - Spadną ci kapcie z zachwyty.

- Nie noszę kapci.

- Zauważyłem - mruknął i zaczął wyciągać z szafek różne produkty.

Annie czuła, jak ogarnia ją miłe poczucie zadowolenia. Od dawna nie przeżywała niczego podobnego. W wielkiej kuchni było ciepło i przyjemnie. Postanowiła zapomnieć o kłopotach.

Zajmie się nimi jutro. Teraz postanowiła zrobić sobie przerwę i zjeść coś pysznego razem z przystojnym mężczyzną.

To było za dobre, żeby mogło być prawdziwe.

- Proszę. - Postawił przed nią talerzyk. - Moim nocnym przekąskom nikt się jeszcze nie oparł.

- Przecież to zwyczajny tost. Tyle że z grahama. - Annie powątpiewająco patrzyła na kanapkę.

- Spróbuj. - Cole zasiadł naprzeciwko niej i z błogą miną ugryzł wielki kęs swojego tosta. - Tak musiała smakować ambrozja.

Ostrożnie odgryzła rozek ciepłej kanapki. Poczowała rozpływającą się na języku czekoladę. I jeszcze coś - był tam świeży banan, rodzynki i jakieś orzechy.

- Pycha! - zawołała z największym zdumieniem. - Skąd wzięłeś przepis na coś takiego?

- A nie mówiłem? - Cole sięgnął po następny tost. - Nie potrzebuję żadnego przepisu. To klasyczny obozowy deser.

- Nigdy nie jadłam czegoś takiego na moich obozach - zaśmiała się, oblizując palce.

- Też jeździłaś na obozy?

- Jasne - kiwnęła głową. - To był pomysł tatusia numer cztery. Bardzo nie lubił, kiedy ja i moja siostra kręciłyśmy się w pobliżu, więc przez cztery lata pod rząd wysyłał nas do Poconos.

- Niezbyt to miło z jego strony.

- Dlaczego? Uwielbiam spać pod namiotem!

- Ja też - zawołał. - Ale ja mówię o waszym ojczymie

- musiał być niezłym palantem.

- Dlatego mama się z nim rozwiodła.

- Ile razy właściwie rozwiodła się twoja matka?

- Pięć.

- O rany! - Pokręcił głową w największym zdumieniu.

- Koszmar.

- Zgadzam się, że jest w tym trochę przesady.

- Trochę? - zdziwił się. - Swoją drogą, chyba tylko w bajkach sprawdzają się słowa, że „żyli potem długo i szczęśliwie”. Moi rodzice się rozwiedli, małżeństwo Matta rozpadło się dwa lata temu...

- Głupie gadanie. Na pewno znasz tyle samo par, którym się udało.

Wzruszył ramionami. Obserwowała go spod oka. Taki męczyzna nie powinien spędzać życia samotnie. Mimo pozornego cynizmu, był czuły, opiekuńczy i bardzo, ale to bardzo pociągający. Rodzina bardzo by pasowała do tego dużego, pustego domu. A już na pewno było tu miejsce dla kobiety, która wspierałaby gospodarza i jadła z nim tosty w środku nocy.

Dosyć tego, przywołała się do porządku Annie. Posuwam się za daleko. Najwyższy czas wracać do siebie. Odłożyła nadgryzioną kanapkę i wstała.

- Nie powinnam trzymać cię tutaj w środku nocy. Prześpij się trochę. I dziękuję za pyszne jedzenie.

Miała nadzieję, iż nie zauważył, że drżą pod nią kolana.

- Dobranoc, Cole - powiedziała od drzwi.

Gdyby była mądrzejsza, powiedziałałaby mu „żegnaj” i dla własnego dobra zniknęła z jego domu.

Cole znalazł sobie miejsce za filarem w holu hotelu „Regency” i usadowił się wygodnie w skórzanym fotelu. Czekał, aż szczur połknie przynętę.

Nie miał wątpliwości, że Roy pojawi się w hotelu. Wiedział od recepcjonisty, że dzień w dzień jakiś męczyzna dopytywał się o wiadomości dla pana Halseya. Jasne -szczur czekał na zwrot swojej idiotycznej ankiety!

I dzisiaj właśnie Cole postanowił mu ją dostarczyć. A przy okazji miał zamiar wyjaśnić kilka spraw.

Bo Roy Halsey istniał naprawdę. Cole ustalił to po metodycznych poszukiwaniach. Mieszkał na ranchu w pobliżu Golden w Kolorado. Nie miał kłopotów finansowych, bo gospodarstwo było dochodowe. Prowadził zwyczajne życie - żadnych konfliktów z prawem, żadnych wizyt u psychiatrów, żadnego haremu korespondencyjnych narzeczonych zamykanych potem w piwnicy.

Tym dziwniejsze wydawało się jego zachowanie. Czemu działał z ukrycia? Dlaczego miał zastrzeżony telefon? Po co mu ta dziwaczna ankieta?

Cole postanowił zdobyć odpowiedzi na swoje pytania teraz. Bez zwłoki. Nie chciał się więcej rozpraszać. Póki nie było za późno, musiał skończyć z nocnymi posiedzeniami w kuchni z pewną rozkoszną kobietą.

Z rozkoszną, kłamliwą kobietą!

Annie oszukała go. Znowu. Kiedy wczoraj w nocy wróciła do siebie, Cole sięgnął po telefon i nacisnął guzik „redial”. Wstrzymał oddech, czekając na połączenie z wybieranym ostatnio numerem. Po chwili w słuchawce odezwał się głos:

- Szpital świętego Jakuba. Czym mogę służyć?

- W jakim mieście? - zapytał całkowicie zaskoczony. Telefonistka odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

- Jesteśmy w Newark. Czy mam pana połączyć z oddziałem psychiatrycznym?

Cole odłożył słuchawkę. Dlaczego Annie dzwoniła do Newark? Do szpitala? O północy? Czyżby ktoś z jej rodziny albo przyjaciół był chory? Może miała znajomego lekarza, z którym chciała pogadać? A może to była pomyłka?

Każde z rozwiązań brzmiało prawdopodobnie, ale żadne nie wyjaśniało, dlaczego chciała zachować wszystko w tajemnicy. Ani faktu, że wciąż mu nie ufała.

Chciałby wiedzieć, co ukrywa Annie Jones. A raczej, co ukrywa kobieta, która podaje się za Annie Jones. Cole zdał

sobie sprawę, jak niewiele o niej wie. Zna zapach jej skóry, pamięta gładkość policzka i smak pocałunku. Ale o tym wolał zapomnieć. Szczególnie teraz, kiedy postanowił wykonać zadanie. Musi się przekonać, czy kowboj Roy zasługuje na taką kobietę. I zrobi to, nawet jeśli miałby tu siedzieć trzy doby.

Przyglądał się tłumom kręcącym się o tej porze po hotelowym holu i w pewnej chwili nad głowami ludzi zauważył główkę czarnego kowbojskiego kapelusza. Wstrzymał oddech. Po chwili do recepcji podszedł krzywonogi mężczyzna w spranych dżinsach. Kiedy recepcjonista wręczył mu znajomą żółtą kopertę, Cole był pewien, że to Roy. Odczekał chwilę, potem wstał. Nadszedł czas na jego ruch.

Kowboj odwrócił się i Cole zamarł, z ustami szeroko otwartymi ze zdumienia. Ten facet w niczym nie przypominał człowieka opisanego przez Annie. Nie miał też rudych wąsów ani piegów, o których opowiadał kilka dni temu pracownik hotelu. Miał za to sumiaste wąsy, zakrzywiony nos i pobrużdżoną twarz sześćdziesięciolatka.

O co, do diabła, tutaj chodzi?

- Pan Halsey? - zawołał ze swojego miejsca. Kowboj zbladł jak ściana, potem odwrócił się na pięcie

i nie czekając na Cole'a, ruszył biegiem do wyjścia.

Cole, zaskoczony jego zachowaniem, odprowadzał go wzrokiem. Ocknął się, kiedy tamten wybiegł na ulicę. Miał jeszcze szansę go dogonić, ale musiał się pospieszyć.

Dokładnie wtedy jakaś zwalista postać zablokowała mu drogę.

- Musimy porozmawiać, koleś - usłyszał znajomy głos.

- Nie teraz, Brano - warknął, próbując ominąć umięśnioną górę mięsa. - Mam spotkanie.

- A mnie się wydaje, koleś, że próbujesz zrobić ze mnie durnia. - Bruno przytrzymał go wielką dłonią. - Nie ruszysz się stąd, dopóki nie uregulujesz rachunku.

- Jakiego rachunku? - Cole był wściekły. - Nie jestem ci winien nawet dziesięciu centów.

Nie miał szans. Halsey dawno zniknął z horyzontu, a Bruno miał spluwę za paskiem.

- Chcę swoje pięćdziesiąt dolców za pierścionek.

- Oddałem forszę Ingrid.

- Nie wierzę. Ingrid mówi, że dostała tylko stówę. Chcę swoją działkę.

- Coś mi się wydaje, że ona chce cię oszukać.

- Jest za głupia na coś takiego. - Bruno zacisnął dłoń w pięść. - Nie podobasz mi się, Rafferty.

- Przy następnym szantażu zażądam rachunku. - Cole strząsnął z siebie rękę Brana. - A teraz mnie puść, bo będę zmuszony napisać skargę do dyrekcji.

Bruno zbulgotał z wściekłości, ale odsunął się na bok.

- Nie chcę cię tu więcej widzieć, Rafferty - wycodził przez zęby.

Nie ma sprawy, pomyślał Cole. Skoro Halsey uciekł, on nie miał już czego szukać w hotelu „Regency”. Czekala go teraz rozmowa z Annie. Musiał się przyznać, że znalazł jej narzeczonego i... że go zgubił.

Ciekawe, jak zareaguje. Czy będzie zła, czy raczej poczuje ulgę? Bo on sam był bardzo zadowolony ze zniknięcia Roy'a.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Annie podniosła z ziemi węża i odkręciła wodę. Chciała podlać nagietki, które przed chwilą posadziła w ogrodzie Cole'a. Musiała się czymś zająć, żeby nie myśleć o niebezpieczeństwie.

Czuła się zagrożona, bo Quinn Vega był na jej tropie. Była tego pewna. Z automatu w centrum ogrodniczym zatelefonowała do jego biura. Dowiedziała się, że wyjechał. W sprawach osobistych, oznajmiła recepcjonistka. Nie, nie wiadomo, kiedy wróci.

Pod Annie ugięły się nogi. Była pewna, że jej dni są policzone.

- Uspokój się - mruknęła do siebie pod nosem. - Wiesz tylko, że wyjechał z miasta. Nikt nie mówił, że ściga swoją eksnarzeczoną po to, żeby z nią skończyć.

Nawet jeśli jakimś cudem trafi do Denver, miną całe tygodnie, zanim ją tu odnajdzie. Chyba że pójdzie z jej zdjęciem na policję i trafi na sierżanta Alvareza, który od razu powie, gdzie jej szukać.

I wtedy ona skończy tak jak Jared, jej fotograf. Albo jeszcze gorzej. Wczoraj w nocy, kiedy w kuchni pojawił się Cole, dzwoniła do szpitala, żeby dowiedzieć się o zdrowie Jareda.

- Stan stabilny - usłyszała od lekarza.

Sam Jared nie chciał z nią rozmawiać. Właściwie trudno mu się dziwić. Przekonał się na własnej skórze, jak niezdrowe są wszelkie kontakty z Antonią Bonnaci.

W tej chwili poczuła, że ktoś kładzie rękę na jej ramieniu. Krzyknęła głośno, odwróciła się błyskawicznie i wycelowała węża w napastnika.

Cole! Wypuściła powietrze i cofnęła się o krok. Paniczny strach, który ścisnął jej serce aż do bólu, powoli ustępował.

- Co ty tutaj robisz? - wyjąkała.

- Wydaje mi się, że biorę prysznic. - Zerknął na mokrą koszulę. - Mieszkam tutaj, nie pamiętasz?

- Nie można tak zaskakiwać ludzi.

- Szczególnie, kiedy mają w rękach groźną broń.

Nie zareagowała. W tej chwili nie bawiły jej żarty o broni. I wtedy zauważyła, że Cole z podejrzanym błyskiem w oku spogląda na węża.

- Ani mi się waż! - Odsunęła się i wycelowała węża w jego stronę.

- Dobrze, już dobrze! - Podniósł ręce w górę. - Poddaję się. Zresztą, nie mamy czasu na zabawy. Musimy porozmawiać.

- No to mów! - Nie podobał się jej poważny głos Cole'a.

- Nie tutaj. Chodźmy do środka.

- Przebierz się. Przyjdę, jak skończę podlewać.

Tak naprawdę - musiała się uspokoić. I przestać myśleć o jego muskularnych ramionach rysujących się wyraźnie pod mokrą koszulą.

- Ładne kwiaty. - Popatrzył z przyjemnością na nagietki.

- Naprawdę ci się podobają? - ucieszyła się.

Bardzo chciała, żeby tak było. Bardzo chciała, żeby w tym domu coś po niej zostało. Może na widok nagietków Cole przypomni sobie o niej, kiedy jej już tu nie będzie.

- Są śliczne - odpowiedział, nie patrząc wcale na kwiaty. Wpatrywał się w nią. Poczowała gwałtowne pragnienie, żeby wszystko mu opowiedzieć. Objąłby ją, a ona nareszcie znalazłaby bezpieczną przystań. I spokój. Schyliła się

gwałtownie po węża i zaczęła podlewać podlane już kwiaty. Wszystko po to, żeby nie zrobić głupstwa.

Nie może tu zostać i narażać Cole'a na niebezpieczeństwo. Musi poradzić sobie sama. Jak zawsze. Przecież do tego przywykła. A jeśli Cole'owi będzie przykro, że wyjechała, to trudno. Szybko znajdzie sobie kogoś, kto zajmie jej miejsce. Wokół niego wciąż roilo się od kobiet, które przeczytały tamto ogłoszenie matrymonialne. Nie dalej jak wczoraj do drzwi zapukała dama, która pod płaszczem miała na sobie tylko przezroczysty neglig.

Nagietki niemal pływały w wodzie. Annie uznała, że nie należy ich dłużej męczyć i zabrała się za podlewanie bzu. I właśnie wtedy dostrzegła jakąś kobietę. Czaiła się w pobliżu małej furtki na tyłach ogrodu i na domiar złego trzymała w ręce torbę podróżną.

Tego było już za wiele. Annie miała dość żeńskich drapieżników polujących na Cole'a. On należał do niej - przynajmniej chwilowo. A skoro tak, była zmuszona do ochrony swojego terytorium.

Niewiele myśląc, skierowała strumień wody w stronę nieznaną. Rozległ się dziki wrzask, który zabrzmiał w jej uszach jak muzyka. Od razu poczuła się lepiej.

Kobieta nie ruszyła się z miejsca. Stała, ociekając wodą i drżąc z zimna.

- Na pani miejscu zmyłabym się stąd jak najprędzej - odezwała się Annie z jadowitą grzecznością. - Cole jest mój. Tylko i wyłącznie mój. Jestem jego narzeczoną.

- Tego się obawiałam. - Kobieta odgarnęła z twarzy kosmyk mokrych włosów. - Jestem jego matką.

- Co tutaj robi moja matka? - zapytał zdumiony Cole, kiedy Lenore zniknęła w łazience. - I dlaczego jest cała mokra?

- Zafundowałam jej coś w rodzaju prysznicu - wyjaśniła Annie.

- Coo?!

- Nic jej się nie stało. Jest tylko mokra. Cole gwizdnął pod nosem.

- Bardzo poważnie traktujesz swoją rolę, narzeczono z piekła rodem.

- To była pomyłka. Nie oblałabym lodowatą wodą twojej matki. Byłam pewna, że to jedna z tych kobiet.

- Jakich kobiet?

- Nie udawaj! - Przewróciła oczami. - I nie rób ze mnie idiotki. Przecież widzę, jak dyszą na twój widok. Postanowiłam ostudzić zapał jednej z nich.

- Zazdrosna? - Cole nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Kto? Ja? Nigdy w życiu! - Annie oblała się rumieńcem. Cole uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Przyznaj się, Annie. - Podszedł bliżej. - Przyznaj się, że chcesz mnie tylko dla siebie.

Z wielkim trudem wytrzymała jego spojrzenie.

- Coś ci się roi w głowie. - Udała, że się śmieje.

- Nie wydaje mi się. Jestem detektywem. Zestawiam fakty i wyciągam wnioski. I robię to całkiem nieźle.

- Jestem bardzo ciekawa, co takiego zauważyłeś?

- Fundujesz prysznic obcym ludziom, to raz. Wczoraj w domu towarowym podstawiałaś nogę Bogu ducha winnej kobiecie.

- Nie podstawiałam jej nogi - zaprzeczyła Annie. - Sama potknęła się o moją stopę, kiedy próbowała włożyć ci wizytówkę do kieszeni spodni.

- A kurczak? - zapytał Cole z przebiegłym uśmiechem.

- Nie podstawiałam nogi żadnym kurczakom.

- Upiekłaś kurczaka w rodzynkowym sosie dzień po tym, kiedy powiedziałem, że to moje ulubione danie.

- To co innego... - zaczęła obronnym tonem, ale nie miała szansy skończyć.

Cole podszedł całkiem blisko i dotknął delikatnie kosmyka włosów, który opadł jej na czoło.

- I wciąż myjesz włosy tym truskawkowym szamponem - dodał cicho - bo wiesz, że bardzo lubię ten zapach.

- Naprawdę? - szepnęła.

Stał tak blisko, że widziała pulsującą mu na skroni krew.

- Tak - kiwnął głową, patrząc jej w oczy. - Bardzo lubię. Przypomina mi Stellę.

- Stellę? - zamrugła Annie. - A kto to jest Stella?

- Moja dawna dziewczyna. A może to była Alison? - Zmarszczył brwi i zastanowił się chwilę. - Nie. Już wiem. To na pewno była Carlene.

- Chyba powinieneś uzupełnić luki w dokumentacji - rzuciła przez zęby.

- A nie mówiłem! Jesteś zazdrosna - wyszczerzył się od ucha do ucha.

Annie dała mu kuksańca w bok.

- Ty zarozumiały, egoistyczny, męski szowinisto!

- Cześć, mamó - powiedział nagle Cole, patrząc gdzieś ponad jej głową.

Annie z trudem stłumiła jęk i odwróciła się. W drzwiach stała Lenore w różowej wiatrówce. Nieprzemakalnej, różowej wiatrówce.

- Czy to jest kobieta, z którą zamierzasz się ożenić? - zapytała.

Cole podszedł i ucałował ją w policzek.

- Świetnie wyglądasz, mamó.

- Wyglądam jak zmokły kot. - Lenore przesunęła ręką po mokrych włosach. - A ty nie próbuj zmieniać tematu.

- Mamó, to jest Annie. Miłość mojego życia.

- Miłość twojego życia nazwała cię przed chwilą zarozumiałym szowinistą - mruknęła Lenore, siadając w fotelu.

- Przepraszam bardzo - wybąkała Annie. - Nie chciałam pani oblać.

- A właściwie - Lenore uniosła brew - dlaczego mnie oblałaś?

- To długa historia, mamó - wtrącił się Cole. - Powiedz lepiej, co tutaj robisz?

- Jak rozumiem, ojciec nie powiedział ci, że przyjeżdżam?

- Ani słowa.

- Kiedy zobaczyłam w gazecie ogłoszenie o twoich zaręczynach, nie mogłam usiedzieć w domu. Musiałam poznać dziewczynę, która zdobyła serce mojego syna. - Lenore spojrzała na Annie z wyraźną niechęcią. - Muszę przyznać, że inaczej sobie ciebie wyobrażałam, Annie.

- Niecodziennie funduję zimny prysznic obcym ludziom. Jestem ostatnio trochę zestresowana.

Annie ze zdziwieniem poczuła, że Cole ścisnął jej rękę jakby dla dodania otuchy. A może odwrotnie? Może to był sygnał, żeby wejść w rolę strasznej narzeczonej i jeszcze bardziej zaszokować Lenore?

Widząc ich złączone dłonie, Lenore zacisnęła usta z dezaprobatą.

- Śluby są rzeczywiście stresujące - zgodziła się. - Dlatego tu jestem. Przyjechałam, żeby wam pomóc. Mam nadzieję, że przyjmiecie mnie na kilka dni.

- Wiesz, mamó, dopiero co się zaręczyliśmy. Musimy do siebie przywyknąć. Nie rozmawialiśmy jeszcze o ślubie. Nie chcemy się spieszyć.

- To dobrze. - Lenore westchnęła z ulgą i wyraźnie złagodniała. - Z drugiej strony, nigdy nie jest za wcześnie na

poznanie swojego partnera. Coś wam przywiozłam. -
Otworzyła wilgotną torbę. - Mam nadzieję, że przeżyło kąpiel.

Annie chciałyby powiedzieć to samo o kaszmirowych
spodniach Lenore...

- Zaręczynowy prezent? - spieszyła się. - Ależ
niepotrzebnie...

- To nie jest prezent. Przywiozłam wam test.

- Test? - spytali oboje zgodnym chórem.

- Test zgodności - wyjaśniła Lenore spokojnie. - Czyżby
Cole nie powiedział ci, że pracuję ostatnio w poradni
małżeńskiej? Po rozwodzie wróciłam na studia i zrobiłam
dyplom.

- Ale my nie jesteśmy małżeństwem, mamo!

- Wiem, kochanie. Nasza poradnia jest także poradnią
przedmałżeńską. Według mnie, pomoc fachowca jest bardziej
potrzebna narzeczonym niż małżeństwom.

- Coś jakby środek zaradczy - mruknęła Annie pod nosem.

- Ślub to poważna sprawa. Jestem pewna, że mój syn... -
Lenore odchrząknęła - że żadne z was nie chciałoby popełnić
pomyłki. W poradni można dowiedzieć się o sobie wielu
ciekawych rzeczy. Sekrety nie służą małżeństwu.

Cole nagle bardzo zainteresował się testem. Lenore podała
każdemu z nich test i ołówek.

- Zaczniście odpowiadać na pytania. Ja idę zrobić herbatę.

- Wzdrygnęła się. - Ciągle mi zimno.

- Twoja matka mi nie daruje - szepnęła Annie do Cole'a,
kiedy za Lenore zamknęły się drzwi.

- Ująłbym to inaczej - zaśmiał się. - Nie dostaniesz
prezentu na Boże Narodzenie. Skreśliła cię z listy.

Annie westchnęła. W czasie Bożego Narodzenia i tak jej
tu nie będzie. W takim razie, dlaczego martwi ją to, co Le-
nore o niej myśli? W końcu wszystkie matki chcą chronić
synów...

- Porównujemy odpowiedzi? - zapytał cicho Cole.

- Chcesz oszukiwać?

- Przecież musimy im udowodnić, że jesteśmy całkowicie niedobraną parą. Lepiej się pospiesz, bo jeśli mama nas przyłapie, powiem, że to ty zmusiłaś mnie do ujednolicenia odpowiedzi.

- Serdeczne dzięki - parsknęła. - Ale skoro chcesz...
Pytanie pierwsze: „He chcesz mieć dzieci?”.

- Gdybym kiedykolwiek miał się ożenić, czego nigdy nie zrobię, to troje.

Annie sięgnęła po gumkę.

- Muszę zmienić swoją odpowiedź. Napiszę: sześcioro.

- Dobra. To powinno przestraszyć potencjalnych dziadków.

- „Jakiej muzyki słuchasz najchętniej?”

- Jazzu.

Annie rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Ja też

- „Twój ulubiony film?” - zapytał szybko Cole.

- „Casablanka”. Co zaznaczyłeś? - Spojrzała mu przez ramię.

- „Sokoła maltańskiego”. Przepadam za Humphreym Bogartem.

- Ja też. Zaczyna mnie to przerażać.

- Zwykły zbieg okoliczności - wzruszył ramionami. -A co powiesz o wymarzonych wakacjach?

- Nigdy nie zgadniesz - zaśmiała się.

- Ja napisałem: wyjazd pod namiot.

- Przysięgnij, że nie robisz sobie żartów! - Podskoczyła. -
Ja też.

- W Kolorado jest mnóstwo świetnych kempingów. Musimy coś sobie wybrać na podróż poślubną.

Przez chwilę Annie zapomniała, że to wszystko jest na niby. Było jej miło. Rozmawiali o przyszłości, w której nie było Vegi ani strachu, ani ucieczek. Zamiast tego był Cole.

- Dobrze - powiedziała cichym głosem. - Miła perspektywa.

- Zostawiamy namiot w punkcie czwartym. W końcu jedna odpowiedź może się zgadzać, no nie? Co mamy dalej?

- „Co najbardziej lubisz u swojego partnera?” - przeczytała Annie. - Łatwe. To, że daje mi poczucie bezpieczeństwa.

Cole nie odpowiedział. Patrzył na nią bez ruchu.

- Twoja kolej - popędziła go.

- Nic nie napisałem.

Annie przygryzła wargę. Przecież nie mogła mieć o to do niego pretensji. Od pierwszego spotkania nic tylko udawała. Cole musiał zauważyć, że zrobił jej przykrość.

- To znaczy - dodał pospiesznie - że nie mogłem zdecydować się, co chcę napisać. Lubię twój uśmiech. I kolor oczu. I zapach. Lubię cię słuchać i patrzeć, jak się ruszasz. Lubię, kiedy się ze mną kłócisz i doprowadzasz mnie do szału. Właściwie wszystko u ciebie lubię.

Wiedziała, że nie zasłużyła na takie komplementy, ale było jej bardzo miło.

- Coś mi się nie wydaje, żebyśmy przekonali twoją matkę. Nie wyglądamy na niedobraną parę.

- Dobra. Piszę: „zapach włosów”. To brzmi dość neutralnie.

- Jesteś pewien, że nie mówisz o Carlene?

- Wymyśliłem Carlene. Rozległ się dzwonek telefonu.

- Odbiorę - zawołała Lenora z kuchni. - Nie przeszkadzajcie sobie.

- Następne pytanie. „Co chciałbyś zmienić u swojego partnera/partnerki? Tylko jedna odpowiedź”. To trudne. - Cole postukał ołówkiem w kartkę. - Mów pierwsza.

- O! Dziękuję bardzo. - Annie pomyślała chwilę. -Wiem. Chciałabym, żebyś zaczął dbać o siebie.

- No, nie! - Oburzony Cole poklepał się po płaskim brzuchu. - Przecież jestem w świetnej formie.

- Nie o tym mówię. Musisz zacząć lepiej jeść, żebyśmy mogli razem się zestarzeć.

- Nie zostanę wegetarianinem. Nigdy. Roześmiała się na widok jego zaciętej miny.

- Ja też nie. Nie po tych żeberkach z grilla, które zrobiłeś wczoraj. Ale byłoby miło, gdybyś dorzucił trochę jarzyn i owoców. Po to, żeby zrównoważyć dietę.

- Na to ostatecznie mogę się zgodzić.

- Teraz ty. Co chciałbyś zmienić u mnie?

- Chciałbym, żebyś mi zaufała. - Popatrzył jej prosto w oczy.

- Przecież ci ufam - odpowiedziała automatycznie. Usiadł blisko niej. Tak blisko, że czuła korzenny zapach jego wody kolońskiej. I ciepło jego ciała.

- Naprawdę zaufała - powiedział poważnie. - Coś jest nie tak, Annie. Boisz się. Gdybyś zamiast węża miała w ręku broń, już bym nie żył.

- Przesadzasz. - Uciekła wzrokiem przed jego spojrzeniem.

Gdyby wiedział, jak bardzo chciałaby przyznać się mu do wszystkiego! Ale teraz, kiedy jego matka kręciła się po domu, nie miało to sensu.

- Coś przede mną ukrywasz, Annie.

- Jak wam idzie? - Lenore weszła do pokoju z kubkiem herbaty w dłoniach.

- Skończyliśmy, mamó.

Annie pomyślała, że mówi nie tylko o teście.

- Czekamy na opinię zawodowca. Lenore rozsiadła się w fotelu.

- To zajmie mi jakąś chwilę - zaczęła mentorskim tonem. - Ale musicie wiedzieć, że wyniki testu nie przesądzają o powodzeniu bądź niepowodzeniu małżeństwa. O miłość trzeba dbać. Narzeczeni muszą odnosić się do siebie z szacunkiem i niczego przed sobą nie ukrywać.

Annie nie mogła powstrzymać się od myśli, że Lenore podsłuchiwała ostatni fragment ich rozmowy.

- Zaufanie jest najważniejsze. Bez tego nic się wam nie uda - powiedziała na zakończenie Lenore.

Zapadła cisza. Przerwał ją dopiero Cole, pytając:

- Kto dzwonił, mamó?

- Ach! Byłabym zapomniała. Facet o nazwisku Roy Halsey chce się spotkać z tobą, Cole. Jutro rano, w hotelu Regency, punktualnie o dziesiątej.

- Cole, śpisz?

Z podestu schodów Annie wpatrywała się w ciemność. Ponieważ dom był w stanie permanentnej przebudowy i żadna z rozlicznych sypialni nie nadawała się jeszcze do zamieszkania, Cole oddał matce swoją. Sam przeniósł się na kanapę do salonu.

- Tak. Która godzina? - Niewyraźny cień wychynął spod koca.

- Po pierwszej.

Na palcach podeszła do kanapy. Mimo flanelowej koszuli nocnej i grubego dywanu, w który zapadały się jej bose stopy, miała gęsią skórkę z zimna. A może nie z zimna? Może gęsia skórka pojawiła się na widok gołej piersi Cole'a, która majaczyła przed nią w świetle księżyca?

- Co się stało? - zapytał sennym głosem.

- Musimy porozmawiać.

- No, to mów. - Zrobił jej miejsce na kanapie i starannie przykrył kocem jej odsłonięte nogi.

- Jutro sama pójde spotkać się z Royem.

- Nie ma mowy!

- Cole! Posłuchaj! - Położyła rękę na jego ramieniu. Poczwała pod palcami, jak napinają się mu mięśnie. - Przy twojej matce nie mieliśmy szansy o tym porozmawiać, ale...

- Wydaje mi się, że ona cię polubiła - powiedział zupełnie bez związku. - Najwyraźniej wybaczyła ci, że oblałaś ją lodowatą wodą i że nazwałaś mnie zarozumiałym szowinistą.

- Właściwie ja też ją lubię.

- A wiesz, co ona powiedziała mi po kolacji? Że ojciec i Ethel bardzo do siebie pasują. Powiedziała też, że od początku wiedziała, że Ethel jest w nim zakochana.

- Zmieniasz temat. - Annie postanowiła zmusić go do słuchania. - Mówiliśmy o Royu. Przyjechałam do Denver po to, żeby się z nim spotkać.

- Ta sprawa jest zamknięta. Postaraj się o nim zapomnieć. Małżeństwo z obcym człowiekiem nie jest lekarstwem na twoje problemy.

- Nie twierdzą, że za niego wyjdę, ale muszę się z nim spotkać.

- Po co? Masz zamiar iść z nim do sklepu i wybrać prezenty ślubne? Annie! Nie wiesz nic o tym facecie. To wariat.

Przebiera się i... - Dopiero teraz Cole zorientował się, że powiedział za dużo.

- Zaraz, zaraz. Skąd to wiesz? Myślałam, że twoje śledztwo zakończyło się fiaskiem - Annie cedziła każdy wyraz.

- Chciałem go jeszcze sprawdzić

- Znalazłeś Roya! - Podniosła głos. - I nic mi nie powiedziałeś? Nie prosiłam cię, żebyś go sprawdzał.

- Ciii! - Położył palec na jej ustach. - Działalem w twoim interesie. Ktoś musi.

- Nie mogę uwierzyć, że nic mi nie powiedziałaś. Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo mi zależy na odnalezieniu go?

Zastanawiała się ze strachem, co jeszcze wie Cole. Przez cały czas starała się nie zwracać uwagi na to, że wciąż wodzi palcem po jej ustach. Pod skórą czuła niepokojące mrowienie, ale postanowiła nie poddawać się słabości.

- Nie, nie zdawałem sobie z tego sprawy, Annie. - Wpatrywał się w nią przez długą chwilę. - Trzeba mi było powiedzieć.

- Słuchaj, nie traćmy czasu na tę rozmowę. Nigdy nie zrozumiesz, dlaczego przyjąłem oświadczenia Roya. Sama wiem, co jest dla mnie najlepsze! I musisz się z tym pogodzić.

- A ja wiem, co może nie być dla ciebie najlepsze, a także to, że powinnaś mi zaufać.

Opadł na poduszki i przyciągnął ją delikatnie do siebie. Oparła mu ręce na piersi i odsunięta się. Woląca utrzymać dystans, bo kiedy była zbyt blisko Cole'a, przestawała logicznie myśleć. Nawet oddalona, czuła na sobie ciepło jego ciała. Ich ciała stykały się w zbyt wielu miejscach. Pokusa stawała się coraz silniejsza.

- Zaufaj mi - szepnął.

To było nie do zniesienia. Z trudem powstrzymywała się, żeby nie opowiedzieć mu wszystkiego. W jego silnych ramionach byłaby bezpieczna. Przejechała palcami po mięśniach rysujących mu się pod skórą.

- Zaufaj - szepnął jej prosto do ucha.

Ciepły oddech Cole'a poruszył loczki na jej skroni. Jego wąsy drapały ją w policzek. Z całych sił zacisnęła powieki, żeby zapanować nad drzeniem całego ciała. Pomyślała o Jaredzie, który pobity, z połamanymi kośćmi leżał teraz w szpitalu. To samo mogłoby spotkać Cole'a.

- Nie mogę! - szepnęła, wyrywając się z jego objęć. -Nie mogę cię w to wplątywać.

- Spóźniłaś się. - Ujął w dłonie jej twarz, równocześnie głaszcząc kciukiem jej szyję. - Już jestem wplątany.

Objął ją mocno i pocałował. Potem w geście zwycięzcy złapał ją za nadgarstki i podniósł do góry jej ręce. Poddała się temu. Całowali się żarliwie, gwałtownie, jakby w obawie, że zaraz skończy się ich krótkotrwałe zawieszenie broni.

Annie przejechała paznokciami po jego nagich plecach. Jęknął i przytulił ją jeszcze mocniej.

- Zaufaj mi! - powtórzył, pokrywając jej policzki, nos i szyję lekkimi pocałunkami. Odpiął guzik jej koszuli nocnej. Jeden. Potem drugi... Wtulił twarz w zagięcie jej szyi. Jeszcze jeden guzik...

Po co mi tyle guzików! - pomyślała ze złością. Flanelowe koszule nocne świetnie się sprawdzają podczas chłodnych nocy w Kolorado, ale nie podczas nocy z Cole'em!

Niepotrzebnie się obawiała. Cole, niczym nie zrażony, kontynuował pracę. Jego usta powtarzały trasę, którą wcześniej przeszły palce. Leżała bez tchu, szczęśliwa, że chociaż raz nie zawiódł jej instynkt. Nareszcie trafiła na właściwego mężczyznę.

I wtedy stało się coś niepojętego. Cole znieruchomiał. Otworzyła oczy. Wpatrywał się w nią napiętym, pełnym pożądania spojrzeniem.

- Tak - szepnęła, rozchylając usta w oczekiwaniu następnego pocałunku. - Tak, Cole.

Wbiła mu palce we włosy i przyciągnęła go do siebie. Całowali się długo.

- Annie! - odezwał się w końcu przytłumionym, zachrypniętym głosem. - Nie mogę się kochać z narzeczoną innego mężczyzny. Powiedz mi, że zrywasz z Royem. Obiecuj, że się z nim nie spotkasz.

Jęknęła, rozczarowana i sfrustrowana. To zabrzmiało jak szantaż. Ale nie mogła mieć do niego pretensji. Poznała go za dobrze. Wiedziała, że kieruje się niedzisiejszym poczuciem honoru. Prowadził jej sprawę za darmo, nie próbował wyciągać korzyści z faktu, że mieszka z nim pod jednym dachem, a teraz uznał, że niewłaściwe jest uwodzenie cudzych narzeczonych.

Kochała go za to, chociaż w tej chwili dałaby wiele, żeby nie był taki szlachetny. Było jeszcze inne wyjście - powiedzieć mu wszystko o sobie. Ale to nie wchodziło w grę. Cole w głębi ducha pozostał policjantem - gdyby dowiedział się prawdy o Quinnie Vedze, natychmiast dałby znać swojemu przyjacielowi Mateo Alvarezowi. Nie mogła do tego dopuścić. Wprawdzie ufała teraz Cole'owi, ale nie ufała stanowej policji.

Wyczuł jej napięcie.

- Annie? - Delikatnie przejechał palcami po jej policzku.

Westchnęła ciężko. Była pewna, że bez problemów doprowadziłaby do sytuacji, w której Cole zapomniałby o swoich skrupułach, ale nie chciała nawet próbować. Musiała zachować resztki szacunku do siebie. Leżała bez ruchu i przeklinała swoje parszywe szczęście do mężczyzn. Kiedy w końcu znalazła tego właściwego, nie mogła go mieć. Nawet na jedną noc.

- Przepraszam, Cole - szepnęła.

Nic nie powiedział. Położył głowę na jej ramieniu, ale nie odezwał się. Wszystko było tak, jak chciała. Tylko dlaczego czuła się przegrana?

- Pójdę tam z tobą jutro - powiedział po chwili. Usiadła i drżącymi palcami zapięła guziki koszuli.

- Nie musisz.

- Nie będziemy o tym dyskutować. Na pewno nie teraz. Nie protestowała. Miał rację - to nie był odpowiedni moment. Wstała. Wychodząc z pokoju, odwróciła się do niego.

- Przykro mi, Cole - rzuciła.

- Mnie też - powiedział tak cicho, że ledwo go usłyszała.

Cole trzymał przy uchu słuchawkę i Uczył dzwonki. Postanowił się nie rozłączać, dopóki ktoś nie odbierze jego telefonu. Doczekał się w końcu.

- Kto, do cholery, zrywa mnie z łóżka o trzeciej nad ranem? - usłyszał wściekły głos Alvareza.

- To ja, Cole Rafferty.

- Zwariowałeś. Mam nadzieję, że dzwonisz, bo potrzebujesz nerki. Jeśli to coś mniej ważnego, odkładam słuchawkę.

- Chodzi o Annie...

- Annie potrzebuje nerki?

- Nie. Chociaż być może przydałaby się jej mała transplantacja mózgu.

Nie. Wcale tak nie myślał. Annie była wspaniała. Musiał powiedzieć coś niemiłego, żeby się wyładować.

- Wydajesz się nieco sfrustrowany, Rafferty - zaśmiał się złośliwie Alvarez. - Czyżby młoda dama nie uległa twojemu czarowi?

Uległa. Ale jemu zależało na jej sercu, a także zaufaniu.

- Annie jest trochę uparta - przyznał.

- Jest też kłamczucha doskonałą.

Zacisnął palce na słuchawce. Żałował, że to nie szyja Alvareza.

- Udowodnij to - warknął.

- Daj spokój, Cole. Nie strzelaj do pianisty! Nie mówiłbym tak, gdybym nie był tego pewien. Czy pamiętasz, jak twoja czarnowłosa piękność opisała złodzieja torebki?

- Jasne, że tak. Wysoki mężczyzna z ciemną brodą.

- Powiedz raczej niska kobieta z blond włosami. Jeden z bagażowych był świadkiem całego zdarzenia.

- Kobieta? - Cole aż usiadł.

- No właśnie. Coś tu się nie zgadza, prawda?

Cole usilnie próbował znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie zachowania Annie, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

- I kiedy zamierzałeś ujawnić mi swoje odkrycie?

- Nie wściekaj się! Skończyłem służbę o północy. Uznałem, że mogę poczekać do rana. Do rana chyba się nie ożenisz, prawda?

- Nie.

- To dobrze. Bo warto, żebyś jeszcze raz wszystko przemyślał. To nie moja sprawa, ale tu coś śmierdzi.

- Masz rację, Matt. To nie twoja sprawa.

- Spokojnie, stary! To ty zadzwoniłeś do mnie o trzeciej nad ranem. Więc teraz posłuchaj, co ci chcę powiedzieć. Mało kto udziela dzisiaj rad całkiem za darmo. Zastanów się dwa razy, zanim zwiążesz się z tą dziewczyną. Od razu widać, że kłopoty to jej specjalność.

- Nie znasz jej tak dobrze jak ja. - Cole zdawał sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało. Sam nie rozumiał, dlaczego chce bronić Annie.

- Wiesz tak samo dobrze jak ja - prychnął ze złością Matt - że jeśli ktoś okłamuje policjanta, to z całą pewnością jest na bakier z prawem. Poza tym, nie sądzę, żeby nazywała się Annie Jones.

- Tyle to i ja wiem. Jej nazwisko zaczyna się chyba na B.

- Rzeczywiście bardzo dużo wiesz - stwierdził uszczypliwie Alvarez. - Radzę ci odkryć resztę liter, zanim zaczniecie wypełniać kwestionariusz małżeński. I dobrze by było, gdybyś sprawdził policyjne kartoteki.

Cole poczuł ucisk w żołądku. Nieraz już przychodziło mu do głowy, że Annie może być notowana. Okazuje się, że Matt podejrzewa to samo.

- Może jest jakieś inne wytłumaczenie...

- Cole! - westchnął Matt. - Sam byłeś kiedyś gliniarzem! Chyba nie masz wątpliwości, że dziewczyna nie chciała, żebyśmy szukali jej torby. Bała się, że przy okazji znajdziemy dokumenty. Albo coś znacznie gorszego.

- Gorszego?!

- No, narkotyki, kontrabandę, skradzioną biżuterię. Możliwości jest nieskończenie wiele.

Biżuterię! Cole pomyślał o pierścionku z brylantem. Nic dziwnego, że Annie nie opowiadała mu o sobie - bała się, że odda ją w ręce policji.

Czy byłby to zrobił? Sam nie wiedział. O trzeciej nad ranem nie da się rozmyślać nad skomplikowanymi problemami natury moralnej. Skończył rozmowę pod byle pretekstem. Leżał, patrząc w sufit i przypominał sobie, jak Annie szeptała jego imię.

Czy naprawdę zakochał się w zwykłej oszustce?

A najgorsze jest to, że w gruncie rzeczy wcale go nie obchodziło, czy była oszustką, czy nie. Zapomniał o swoich wątpliwościach, podejrzeniach i przyzwoitych zamiarach. Pragnął Annie.

Jeśli oczywiście było to jej prawdziwe imię.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następny dzień zaczął się jeszcze gorzej. Stali oboje z Annie przed pokojem numer 315 w hotelu „Regency”, w którym Roy wyznaczył spotkanie.

- Cole, mówię ci po raz ostatni, że wejdę tam sama!

- Nie wejdiesz tam sama.

Nie chciał się kłócić. Był niewyspany i zły. Patrzył ponuro, jak Annie chodzi po korytarzu tam i z powrotem. Gruby dywan tłumiał odgłos jej niecierpliwych kroków.

- Poradzę sobie sama. - Oparła ręce na biodrach. - Wchodzę.

- Nie wiem, czy pamiętasz, że Roy umówił się ze mną. Zostań tutaj i poczekaj, aż wrócę.

- Nie będziesz mi mówić, co mam robić! - W jej oczach pojawiły się wściekłe błyski.

Cole z trudem powstrzymywał się, żeby jej nie pocałować.

- Nie kłóćmy się - próbowała ułagodzić go. - Naprawdę nie warto.

- Zgadzam się z tobą. Wejdźmy w końcu do tego pokoju i sprawdźmy, jak wygląda facet, którego masz zamiar poślubić.

- Cole! Zwalniam cię!

- Nie możesz tego zrobić - uśmiechnął się.

- Jak to nie? Już to zrobiłam.

- Żeby kogoś zwolnić, trzeba go wcześniej zatrudnić. Nie przypominam sobie, żebym dostał od ciebie jakiegokolwiek pieniądze. Odwrotnie. To ja wyłożyłem forszę na łapówkę dla Bruna. Z tego wynika, że jesteś moją dłużniczką.

- Nie rozumiem cię! - wybuchnęła, wyrzucając ręce wysoko w górę.

- Ja też cię nie rozumiem. - Starał się mówić spokojnie, żeby jego słowa dotarły do Annie. - Nic nie wiesz o człowieku, który czeka za tymi drzwiami. Nie można wykluczyć, że jest niebezpieczny.

Jednak Annie nie chciała myśleć logicznie.

- Umowa jest umową - upierała się. - Postanowiliśmy, że zrywamy nasze fałszywe zaręczyny, kiedy tylko Roy się odnajdzie.

- Ponieważ nie spotkałaś jeszcze Roya, nasze fałszywe zaręczyny wciąż trwają. Jako twój narzeczony mam więc obowiązek opiekować się tobą i dlatego nie pozwalam ci wejść tam beze mnie.

- Ale tam jest mój prawdziwy narzeczony. Nie mogę przyjść do niego z innym mężczyzną.

- Przez dwa tygodnie mieszkaliśmy razem i jakoś ci to nie przeszkadzało.

- To było co innego. Nie miałam wyjścia. A teraz...

- Teraz masz Roya - powiedział z niechęcią.

Nie poznał jeszcze faceta, a już miał ochotę dać mu w szczękę.

- Przez ciebie jestem spóźniona.

- Miejmy nadzieję, że Roy nie jest maniakiem punktualności, bo jeszcze sobie poszuka nowej narzeczonej.

- To wcale nie jest śmieszne - mruknęła i spojrzawszy na zegarek, dodała szybko: - Dobrze, możesz iść ze mną. Tylko pamiętaj, ja mówię. Ty się nie odzywaj.

- W porządku - zgodził się.

Zamiast mówić, zawsze może dać facetowi w zęby, jeśli zajdzie taka potrzeba. Patrzył, jak Annie drżącą ręką puka do drzwi. Chciałby ją objąć, pocieszyć i uspokoić, ale musiał się

powstrzymać. Ona tego nie chciała. Dla niej liczył się tylko Roy.

Drzwi się otworzyły. Instynktownie ruszył w tamtą stronę, żeby ochronić ją przed maniakiem, który czyhał w środku. Tylko że maniak okazał się siwą kobietą z włosami zebranymi w schludny kok.

- Bardzo proszę - powiedziała zapraszającym tonem. Musiała mieć około sześćdziesiątki. Nosiła wypłowiałe dzinsy wetknięte w kowbojskie buty i zieloną, sportową koszulę harmonizującą z kolorem oczu. Jej opaloną twarz pokrywała siatka drobnych zmarszczek.

Cole spojrzał na Annie. Stała bez ruchu, z szeroko otwartymi ustami. Potem cofnęła się i sprawdziła numer pokoju. Kobieta przyglądała się jej, kiwając głową z wyraźną aprobatą.

- Przepraszam - wyjąkała Annie. - Szukam Roya Halseya.

- To znaczy, że jesteś we właściwym miejscu - odpowiedziała kobieta. - Wejdz. Mam na imię Hildy. Zamówiłam kawę i te ich wyszukane ciastka.

Cole wszedł tuż za Annie. Pokój był wielki, umeblowany z ostentacyjnym przepychem - tak jak reszta hotelu. Wielkie łóżko przykryte jedwabną narzutą ozdobioną koronkami w kolorze kości słoniowej. Mahoniowe meble błyszcząły tak, że można było się w nich przeglądać. Na ścianach wisiały olejne obrazy z realistycznie odmalowanymi scenami rodzajowymi. Halsey musiał mieć sporo pieniędzy, jeśli było go stać na wynajęcie takiego apartamentu.

Annie rozejrzała się, jakby chciała sprawdzić, czy Roy nie schował się gdzieś za zasłoną.

- Nazywam się... - zaczęła.

- Nazywasz się Annie. Znam cię z fotografii - przerwała Hildy.

- Czy to Roy pokazał ci moje zdjęcia?

- Widziałam je mnóstwo razy, ale muszę powiedzieć, że w naturze jesteś dużo ładniejsza.

Obeszła Annie dookoła i pomrukując z zadowoleniem, obejrzała ją bardzo dokładnie.

- Patrzcie państwo na te biodra. Z takimi biodrami będziesz mogła urodzić mnóstwo dzieci.

- Jakich dzieci? - wyjąkała Annie.

- Dzieci Roya - odpowiedziała kobieta poważnie. - Najwyższy czas, żeby Roy miał dzieci. Na ranczu ciągle potrzeba rąk do pracy. Wyglądasz na silną kobietę. Będziesz mogła rodzić każdej wiosny.

Annie popatrzyła niepewnie na Cole'a. Uśmiechnął się do niej i sięgnął po rogalik z lukrem. Rano nie mógł nic przełknąć, ale teraz niespodziewanie wrócił mu apetyt. Annie też nic nie zjadła przed wyjściem, lecz nie wydawało mu się, żeby miała teraz ochotę na ciastko.

- Miałam spotkać się tutaj z Royem.

- Wiem, ale wczoraj w nocy krowy znowu przerwały ogrodzenie. Zagania je teraz na nasze pastwiska. Umiesz jeździć konno, Annie? Przydałabyś się nam w takich sytuacjach.

Oczy Annie zrobiły się okrągłe jak spodki.

Cole z zadowoleniem sięgnął po pączka i odgryzł spory kęs. Annie nie wydawała się zadowolona z tego, że kowboj Roy zamiast niej wybrał krowy. On natomiast był w siódmym niebie.

- Czy... Czy pracujesz u Roya, Hildy? - zapytała Annie słabym głosem.

Hildy ujęła się pod boki.

- Ja? U Roya? Dobry żart. To on pracuje u mnie. Z tego wszystkiego nie powiedziałam ci, kim jestem. Hildy Halsey. - Wyciągnęła rękę. - Matka Roya. Mieszka ze mną na ranczu.

Pięknie. Cole złapał następne ciastko. Roy, Annie i mamuska Halsey. Szczęśliwa rodzinka. Annie wydawała się mniej zadowolona.

- Czy jeszcze ktoś mieszka na ranczu? - zapytała, osuwając się na krzesło.

Hildy podrapała się po głowie.

- Będzie nas dziesiątka, wliczając robotników. Wymyśliłam, że ty zajmiesz się kuchnią. Nie wyobrażasz sobie, ile ci chłopcy potrafią zjeść. Nie będziesz się nudzić. I trzeba szybko pomyśleć o ślubie. Czerwiec to dobry miesiąc.

- Ale czerwiec jest tuż tuż - wyjąkała Annie.

- No właśnie mówię, że nie ma na co czekać. Roya zatka, jak cię zobaczy. A on nie jest z tych, co by się chciał certolić, jak mu się jakaś spodoba.

Cole zakrztusił się gorącą kawą, którą spłukiwał wszystkie słodczyce, jakie zdążył pochłonać.

- Co ci jest? - Annie popatrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Właśnie miałam zapytać, kim jest ten twój lalusz? - Hildy zmarszczyła brwi, a Annie podskoczyła przerażona.

- To jest Cole Rafferty, mój...

- .. .terapeuta - dokończył za nią i kompletnie ignorując jej minę, zwrócił się do Hildy: - Uznaliśmy, że przyda się przedmałżeńskie spotkanie z fachowcem.

- Ciekawe po co? - parsknęła Hildy z niechęcią. - Roya tu nie ma.

- I o to chodzi. Czy nie uważa pani, że taki brak zainteresowania niedobrze rokuje na przyszłość?

- Cole! - warknęła Annie ostrzegawczo, ale nie zwrócił na to uwagi.

- Czy może zechciałaby pani opowiedzieć nam coś o swoim synu? Czy ma kłopoty w nawiązywaniu znajomości z kobietami? Czy słyszy głosy? A może ma zwidy?

- Mój syn jest zupełnie normalny, doktorze. - Hildy podskoczyła, jakby ktoś ukłuł ją szpilką.

- On nie jest doktorem. - Annie z politowaniem wzniosła oczy do góry, ale Hildy też ją zignorowała.

- Muszę przyznać, że mój syn nie jest idealny. Czasami lubi sobie trochę pociągnąć, ale ta dziewczyna go oduczy. Widzę to.

- Chciałbym tylko zrozumieć, dlaczego mężczyzna pokroju Roya szuka żony, ogłaszając się w gazetach?

- Ja uważam, że to bardzo romantyczne - obruszyła się Hildy. - Kiedyś ludzie zalecali się listownie, teraz są gazety. Ale niech pan nie myśli, że mój chłopak nie umie sobie znaleźć panienki. Co to, to nie.

- Na pewno umie. - Annie postanowiła stanąć w obronie narzeczonego. - Sądząc ze zdjęcia, jest bardzo przystojny.

Strzał był celny. Hildy natychmiast złagodniała.

- Trochę się uniosłam. W końcu to naturalne, że pytacie o Roya. Nie widzieliście go na oczy.

Cole wyprostował się, złożył dłonie na kolanach i z ważną miną oznajmił:

- Chyba pani rozumie, że nie mogę pozwolić, żeby moja pacjentka pojechała teraz na ranczo. Pierwsze spotkanie z Royem powinno odbyć się na neutralnym gruncie.

- Niekoniecznie - wysyczała Annie.

- Koniecznie - powiedział tak stanowczo, że przestała protestować.

Zastanawiał się, czy zrobiła to ze strachu, żeby przypadkiem nie powiedział Hildy, że jest jej narzeczoną?

- Proszę powiedzieć synowi, żeby skontaktował się ze mną jak najszybciej. - Wręczył jej wizytówkę.

- Stek bzdur. - Hildy była wyraźnie rozczarowana. - Ale ja już zmuszę Roya, żeby nie zwlekał. Niech łapie narzeczoną na łące i do domu.

- Miarka się przebrała! - Annie pognęła do windy, zostawiając Cole'a w tyle.

Musiła chwilę pomyśleć. Sama! Dość miała jego logicznych wywodów. Nie mogła patrzeć na jego muskularne ciało. Rozpraszał ją. I złościł.

Dzisiaj rano postanowiła, że wyprowadza się od niego. Teraz znowu znalazła się w punkcie wyjścia. Nie wiedziała, czy ma tyle siły, żeby zaczynać wszystko od początku.

- Czy nie uważasz - dogonił ją bez trudu - że to nieco dziwne, iż Roy przysłał na spotkanie swoją matkę?

- Hildy jest bardzo oddaną matką.

- Zauważyłem - powiedział z przekąsem.

- Nie zrazisz mnie do Roya! - wrzasnęła. - To, co robisz, jest bezcelowe!

- Naprawdę? Chyba nie do końca, skoro nie pojechałaś z Hildy na ranczo.

- Jeśli chcesz wiedzieć, wracam do domu, żeby się spakować.

Do domu! Poczowała, że ściska się jej serce. Po dwóch tygodniach uznała to miejsce za dom! I nie chodziło o sam budynek. Chodziło o Cole'a.

- A ja myślę, że grasz na zwłokę. - Wszedł za nią do windy.

Dosyć tego. Nie miał pojęcia, co czuła. Tym szybciej powinna się wyprowadzić. A przede wszystkim - usunąć notatnik Vega spod materaca. Gdyby nie notatnik, mogłaby tam nie wracać. Co tam! Przetrzymałaby i to.

Wyobraziła sobie, że Cole znajduje notes. Kontaktuje się z Vega i zadaje mu mnóstwo niewygodnych pytań. A Vega odpowiada przy pomocy magnum kaliber 375.

Winda ruszyła. Cole stał blisko. Tak blisko, że niemal czuła promieniujące od niego napięcie.

- Więc nie masz zamiaru zmienić zdania? - zapytał.

- Nie.

- Widzę, że będę musiał sam to zrobić za ciebie. Nacisnął guzik. Winda stanęła między piętrami, a Cole zablokował ciałem dostęp do przycisków.

- Będziesz zakładnikiem, dopóki nie otrzeźwiejesz. Jeszcze tego brakowało. Sam na sam z Cole'em w małej windzie.

- Próbujesz mnie zastraszyć. Służba hotelowa zorientuje się natychmiast, że z windą jest coś nie tak.

- Być może, ale zanim to się stanie, wyjaśnisz mi niektóre rzeczy. Jesteś mi to winna, Annie - dodał cicho.

Annie już chciała zaprotestować, ale nagle zdała sobie sprawę; że Cole ma rację. Korzystała z jego gościnności. Zmusiła go do szukania Roya. Za darmo. Była mu winna pieniądze za ubrania, które sobie kupowała. Jak dotąd odpłacała mu kłamstwami albo sekretami.

Westchnęła ciężko. Za kilka godzin znajdzie się na ranczu, gdzie nie dosięgnie jej ani Vega, ani jego ludzie. Zniknie też z życia Cole'a. Dlaczego więc nie miałyby opowiedzieć mu wszystkiego?

- To długa historia - zaczęła.

- Nigdzie się nie wybieram. - Oparł się o obitą grubą wykładziną ścianę. - Zaczynij od początku.

Annie usiadła na podłodze i objęła rękami kolana

- Nigdy nie miałam szczęścia do mężczyzn... Cole uniósł brwi ze zdziwienia.

- W tej chwili masz dwóch oficjalnych narzeczonych. Niejedna kobieta wiele dałaby za taki brak szczęścia.

- Ale jeden z nich nie wychodzi z kryjówki, a drugi nie wierzy w małżeństwo.

Nie zaprzeczył, pomyślała z goryczą i ciągnęła dalej:

- Nieważne. Chodzi o to, że brak szczęścia do mężczyzn bardzo pomógł mi w pracy. Miałeś rację, Cole, gdy zapytałeś

kiedyś, czy jestem dziennikarką. Jestem. Udało mi się wydobyć na światło dzienne sporo brudnych spraw.

- Proszę, proszę. - Kącik ust uniósł mu się w uśmiechu.

- Detektyw. Jeszcze jedna wspólna cecha.

Kiwnęła głową.

- Oboje nie lubimy mieć nikogo nad sobą i oboje lubimy tajemnice. Nie pracuję na stałe w żadnej redakcji, ale moje materiały drukował „New York Times”, „Newsweek” i „Boston Globe”.

- Jestem pod wrażeniem. Musisz naprawdę być dobra.

- Bardzo dobra w wyszukiwaniu tematów. A przy okazji zawsze natykam się na niedobrych facetów.

- Teraz rozumiem. Roy miał być narzędziem do napisania następnego reportażu. Nie miałaś zamiaru wychodzić za niego za mąż.

- Na początku tak właśnie było. - Oblizwała suche usta.

- Wydawało mi się, że w ten sposób zbiorę świetny materiał do tekstu o korespondencyjnych związkach. Zaczęłam sama pisać do niego listy. Zawsze mi odpisywał. Był dowcipny i miły. Tylko że w tym samym czasie pichciłam coś dużo lepszego. I wpadłam w objęcia jeszcze innego faceta.

- Jeszcze jednego? - Wydawało się jej, że Cole'owi sztywnieje szczęka.

- Tak. Szykowałam mi się niesamowita historia. Tylko że... - Głos jej zadrżał. Przypomniała sobie, co czuła, kiedy pierwszy raz przejrzała notes Vegi.

- Co się stało? - Usiadł na podłodze obok niej.

- Omal nie zabiłam człowieka.

- Czyżbyś mu coś ugotowała? - zażartował, żeby ją trochę rozweselić.

Annie roześmiała się naprawdę i napięcie w windzie trochę zelzało.

- Jeśli chcesz wiedzieć, rewelacyjnie gotuję.

- A ten deser na kolacji dla ojca i Ethel?

- Trzeba naprawdę dobrze gotować, żeby z czegoś dobrego zrobić takie świństwo.

- Będziesz musiała mnie o tym przekonać. - Wziął ją za rękę i uściśnął delikatnie. - Powiedz, kogo omal nie zabiłaś?

Wzięła głęboki oddech.

- Mojego fotografa, Jareda Costello. To naprawdę świetny fachowiec. A w dodatku ma żonę i malutkie dziecko. Cole! - Odwróciła się twarzą do niego. - Ja nie musiałam mieć tych zdjęć. Miałam wszystkie potrzebne materiały, niezbite dowody. Odkryłam największą pralnię brudnych pieniędzy w całym New Jersey. Ale byłam zbyt pazerna. Zachciało mi się fotografii.

- Poczekaj sekundkę - przerwał jej. - W jaki sposób zdobyłaś te informacje?

- Ja... ja... działałam w przebraniu.

Nie mogła się zdobyć, żeby powiedzieć Cole'owi, że występowała jako dziewczyna, a potem narzeczona Vega. Wtedy wydawało się jej, że wszystkie środki są dozwolone, byle dojść do celu. Dzisiaj wiedziała, że nie powinna igrać z ogniem.

Czy Jared skończył w szpitalu, bo Vega zemścił się za to, że zrobiła z niego głupca? Bardzo możliwe. Im więcej myślała, tym bardziej była pewna, że Vega nie ma serca. Ma za to wygórowane poczucie dumy i chore ego. Musiał szaleć ze złości, kiedy okazało się, kim naprawdę jest jego narzeczona.

- To nie twoja wina. - Cole poklepał ją po ręce. Chciałaby mu wierzyć.

- Owszem, moja. Zależało mi tylko na sławie. Nawet nie przyszło mi do głowy, że wystawiam na poważne niebezpieczeństwo niewinnego człowieka, który na dodatek nic o tym nie wiedział. Ludzie Vega pobili Jareda i połamali

mu nogi. A ja dopiero wtedy zrozumiałam, że sytuacja wymknęła mi się spod kontroli.

- I co zrobiłaś?

- Przyjęłam oświadczyzny Roya i kupiłam bilet do Denver. Wydawało mi się, że ucieczka rozwiąże wszystkie moje problemy.

Annie zobaczyła jak na dłoni wszystkie brudy, których dopuściła się po drodze. Wykorzystała Roya. W tej chwili próbowała wykorzystać Cole'a. Naraziła ich obu na niebezpieczeństwo, dlatego że za wszelką cenę chciała ocalić własną skórę.

- Jestem beznadziejna - mruknęła.

Miała wrażenie, że całe życie wymknęło się jej nagle spod kontroli.

- Nie. Według mnie jesteś piękna. I odważna. I pociągająca jak wszyscy diabli.

- Cole - zaczęła, ale uciszył ją pocałunkiem. Długim, gorącym pocałunkiem, o którym marzyła od dawna i którym obdarzył ją zupełnie niespodziewanie. Po chwili czuła jego usta na całym ciele. Przyciągnęła go do siebie i wtuliła się w niego z całych sił. Przy Cole'u Raffertym zapomniała o wszystkim. Zapomniała nawet, jak ma na imię.

Zaraz! Zamrugwała oczami. Przecież Cole nie wie, jak ona się nazywa,

- Cole! - trzymała go z całych sił. - Nie nazywam Annie Jones.

- Wiem - mruknął.

- Jak to?

- Zapomniałaś, że jestem prywatnym detektywem - uśmiechnął się. - Albo mnie nie doceniasz. Od pierwszego spotkania w biurze wiedziałem, że w coś ze mną grasz.

- I mimo to zgodziłeś się poprowadzić moja sprawę?

- W przeciwieństwie do ciebie, mój instynkt mnie nie zawodzi. Teraz bardzo się cieszę, że mu zaufałem. - Przejechał palcem po jej policzku. - Czy mogę więc zapytać, kogo mam przyjemność całować?

- Nazywam się Antonia Bonacci. Antonia Kathleen Bonacci.

- Kathleen?

- Mój ojciec jest Włochem, ale rodzina mamy pochodzi z Irlandii.

- Bardzo mi miło panią poznać. Ale teraz nie pora na rodzinne prezentacje. Pocałuj mnie, Antonio Kathleen.

Zrobiła, o co prosił. Było jej tak dobrze - ogarnął ją spokój, zapomniała o strachu, nie czuła wyrzutów sumienia. Cole był przy niej, gotowy dzielić z nią kłopoty. Powiedziała mu wszystko. Prawie wszystko. Celowo nie wspomniała o notatniku Vegi. Na tyle poznała już Cole'a, żeby wiedzieć, co zrobi. Będzie tropić Quinna tak długo, aż wsadzi go za kratki. Tylko wcześniej narazi się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie mogła do tego dopuścić!

- Nie wyjdiesz za Roya, Annie.

To nie było pytanie ani prośba, ale kategoryczne stwierdzenie.

- Powiedz to głośno - zażądał.

- Nie wyjdę za Roya - powtórzyła bez żadnego przymusu. Fale pożądania przepływały przez całe jej ciało. Czuła na sobie jego ręce. Jęknęła na myśl, że mógłby przestać ją pieścić. Ale gdzieś w głębi ducha tkwiła zadra, która nie pozwalała jej zapomnieć się całkowicie.

- A co z Hildy? I jak ja powiem o tym Royowi?

Cole zaśmiał się i wyjął z kieszeni kawałek gazety złożony na czworo.

- Nie musisz nic mówić. - Wręczył jej papier.

Annie nie wierzyła własnym oczom. Patrzyła na zdjęcie, pod którym wielkimi literami widniały nazwiska Jones i Rafferty oraz informacja o zaręczynach i przyszłym ślubie. Wprawdzie jej nazwisko nie było prawdziwe, ale twarz na zdjęciu należała do niej. I wszyscy, wszędzie, mogli się o tym przekonać.

- Kiedy to się ukazało? - Popatrzyła z przerażeniem na podniszczony papier.

- Kilka dni temu. Kolejny poroniony pomysł ojca - wzruszył ramionami Cole. - Muszę jednak oddać mu sprawiedliwość - po tym ogłoszeniu wszystkie napalone baby przestały mnie nachodzić.

„Kilka dni temu”, powtarzała raz po raz, a słowa wbijały się w mózg ostrym klinem. Rozbolała ją głowa. Nie uda się jej zatrzeć śladów. Gorzej! Teraz muszą uciekać oboje, bo inaczej wpadną w ręce Vegi.

Cole nie miał pojęcia, co się z nią dzieje, bo ani na chwilę nie przestawał jej całować. Nagle podniósł głowę.

- Nie chcę powtarzać oklepanych cytatów, ale przysiągłbym, że ziemia drgnęła pod nami, kiedy cię całowałem.

Annie otworzyła oczy.

- To winda. W końcu ją uruchomili.

Wstając, poczuła nagły skurcz żołądka. Nie miała pojęcia, czy powodem bólu był nagły ruch windy, czy świadomość, że Vega może lada moment dotrzeć do Denver.

Ledwie zdążyła poprawić ubranie i przeczesać palcami zmierzwiłone włosy, kiedy drzwi rozsunęły się - wprost na wściekłą twarz Bruna, który dla lepszego efektu trzymał dłoń na zatkniętym za pasek pistolecie.

- Mogłem się domyślić, że to ty, Rafferty - warknął. - Ale będzie cię to sporo kosztować.

Annie nie patrzyła, ile pieniędzy Bruno wyciągnął od nich za, jak się wyraził, „uprowadzenie windy”. Zastanawiała się, co robić.

- Annie? - nie wytrzymał Cole w drodze do domu. - Jesteś dziwnie spokojna. Dobrze się czujesz?

- Tak. Ale jest jeszcze coś, o czym muszę ci powiedzieć.

- Strzelaj.

Zacisnęła oczy na dźwięk tego słowa. Dzisiaj źle reagowała na podobne żarty.

- Wolę poczekać, aż dojedziemy do domu.

Kiedy po chwili wchodzili na górę, Cole - w dumnym geście posiadacza - trzymał rękę na jej biodrze.

- Teraz opowiedz, o co chodzi. - Odwracając się do niej przekręcił klucz w zamku i przepuścił ją przodem.

O mało nie zemdlą, kiedy powitał ich głośny, chóralny okrzyk:

- Niespodzianka!

ROZDZIAŁ ÓSMY

- O Boże! Tylko nie to - mruknął Cole martwym głosem. -
Urządzili nam przyjęcie.

Rozejrzał się dookoła. W salonie były tłumy. Wszyscy wujowie i ciotki, kuzyni, koledzy, współpracownicy, partnerzy w interesach... Wszędzie, gdzie się tylko dało, umocowano kolorowe balony, a z lampy pod sufitem rozchodziły się błyszczące girlandy. Kopia ich zaręczynowego zdjęcia wielkości sporego plakatu wisiała na ścianie naprzeciw wejścia.

Cole spojrzał na Annie, która wciąż starała się ukryć za jego plecami. Była blada i roztrzęsiona. Omal nie zemdląła, kiedy zza otwartych drzwi dotarł do niej szum głosów. Wczepiła się w niego palcami z taką siłą, że na pewno miał siniaki na ramieniu.

Z tłumu gości wyłonił się Rex z szerokim uśmiechem na twarzy. Jedną ręką objął Cole'a, drugą ujął Annie pod łokieć.

- Panie i panowie! - obwieścił głośno. - Chciałbym wam przedstawić szczęśliwą parę. Oto Cole i wybranka jego serca, panna Annie Jones.

Rozległy się brawa i wiwaty. Cole zauważył, że matka krąży z tacą pomiędzy gośćmi i podsuwa im kieliszki z szampanem oraz zaprasza do korzystania z zimnego bufetu.

- Tato! Co to jest? - ledwo wykrztusił Cole.

- Przyjęcie-niespodzianka z okazji waszych zaręczyn. Zorganizowaliśmy je wspólnie z twoją matką. Oboje uznaliśmy, że to najlepsza okazja, żeby przedstawić Annie całej rodzinie.

Rex uściskał Annie.

- Jestem pewien, że polubią cię od pierwszego wejrzenia, tak jak my.

Cały plan pod kryptonimem „Narzeczone z piekła rodem” zakończył się totalnym fiaskiem. Ojciec ją polubił. Matka też. On sam ją polubił. Nie oszukuj się, Rafferty, pomyślał. Przyznaj się przed samym sobą, że to coś więcej. Zakochałeś się w tej dziewczynie po uszy.

- Wchodźcie dalej. - Rex wciągnął ich do salonu. - Jest tort i kanapki, i wielka waza ponczu. A Ethel przygotowała pyszny sos dla wegetarian. - Mrugnął do Annie.

- Gdzie jest Ethel? - były to pierwsze słowa wypowiedziane przez Annie od wejścia do domu.

Rex ze zmarszczonym czołem rozejrzał się po pokoju.

- Nie mam pojęcia. Gdzieś tu była. Może poszła do kuchni...

Przerwał, bo dołączyła do nich Lenore.

- Zaskoczyliśmy cię? - Ucałowała Cole'a w policzek.

I to jak! Nie mieściło mu się w głowie, że ojciec i matka połączyli siły, planując to przyjęcie. Był pewien, że od dnia rozvodu, który odbył się osiem lat temu, nie zamienili ze sobą nawet słowa. Ojciec był urażony, a matka zajęta organizowaniem sobie nowego życia. I nagle zapomnieli o tym, co ich dzieliło.

Zdał sobie sprawę, jak głupi był jego plan. Nie udało mu się zrazić ojca do narzeczonej. Co gorsza - zrozumiał, że zrywając zaręczyny, zrobiłby wielką przykrość rodzicom. Z Annie także nie poszło mu najlepiej. Wprawdzie nie upiera się już, że poślubi obcego faceta, ale nadal jest spięta i zalękniona.

- Dobrze się czujesz? - Przygarnął ją do siebie.

- Musimy porozmawiać. - Poczul przy uchu jej ciepły oddech.

- Później, dobrze? - poprosił.

Wiedział, co mu powie. Teraz, kiedy odnalazł się zaginiony narzeczony, należało pomyśleć o zerwaniu ich fałszywych zaręczyn. Tylko że Cole nie miał ochoty na opuszczanie świata fikcji, który sobie wspólnie stworzyli. Nie chciał stracić prawa do obejmowania jej, głaskania jej jedwabistych włosów i muskania wargami aksamitnego policzka.

- Czy sprawi ci wielki kłopot - zajrzał w jej fiołkowe oczy - jeśli jeszcze chwilę poudajemy, że jesteśmy zakochani? Do końca przyjęcia, dobrze?

Zamiast odpowiadać, wspięła się na palce i delikatnie go pocałowała. Przyciągnął ją do siebie. Zamruczała z zadowoleniem, tak cicho, że tylko on usłyszał, po czym zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała jeszcze raz - mocno i czule.

Cole zapomniał o całym świecie. Dopiero oklaski zebranych przypomniały mu, gdzie jest.

- Ja nie muszę udawać, Cole. - Annie spojrzała mu prosto w oczy.

Zanim zdał sobie sprawę, co mu powiedziała, oboje wpadli w łapy wuja Leona, najstraszniejszego członka rodziny, którego Cole unikał jak ognia. Tym razem nie był dość czujny. Leon odciął im drogę odwrotu i natychmiast zaczął opowiadać swoje stare jak świat, nieprzyzwoite kawały.

A Cole pogrążył się w domysłach - nie był pewien, czy miał halucynacje, czy też naprawdę usłyszał, że Annie go kocha.

Annie wymknęła się z salonu wkrótce po przyjściu Mateo Alvareza. W towarzystwie Marta czuła się niepewnie - nawet kiedy życzył im szczęścia. Z większą łatwością godziła się na spotkania z licznymi członkami rodziny Cole'a. Wprawdzie

nie pamiętała ich imion, ale czuła, że są mili i przyjaźnie do niej nastawieni.

Co prawda, nie miało to większego znaczenia. I tak nie może tu zostać. Im szybciej wyjedzie z Denver, tym lepiej. Musi tylko przekonać Cole'a, żeby zechciał uciec razem z nią.

Chciała, żeby z nią wyjechał nie tylko dlatego, że naraziła go na poważne niebezpieczeństwo. Nie tylko dlatego, że urażony Vega mógłby go zastrzelić z zazdrości o nią. Głównym powodem była miłość. Kochała Cole'a Rafferty.

Annie weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Oparta o ścianę, zamknęła oczy i zaczęła zastanawiać się nad swoim odkryciem. Cole nie wyśmiał jej, kiedy mu o tym powiedziała. Był może trochę zaskoczony. Dobry znak! Może nie będzie trudno przekonać go do wyjazdu.

Wyjęła z szafy żeglarską torbę i wrzuciła do środka swój skromny dobytek. Jak tylko skończy się przyjęcie, pomoże spakować się Cole'owi... Sięgała właśnie pod materac po najważniejszą z rzeczy - oprawiony w czerwoną skórę notes Vegi - kiedy usłyszała niewyraźny hałas. Znieruchomiła i nastawiła uszu. Po chwili stłumiony dźwięk powtórzył się. Była niemal pewna, że dochodzi z łazienki. Wyszła na podest i na palcach podeszła pod drzwi. Zapukała delikatnie, ale nikt nie odpowiedział. A jednak była pewna, że to tam!

Nacisnęła klamkę. W środku, w pustej wannie, siedziała kompletnie ubrana kobieta.

- Ethel?

- Idź sobie! - Ethel przyłożyła do nosa zmiętą chusteczkę higieniczną.

Annie, nie zwracając uwagi na jej słowa, weszła do łazienki.

- Nigdzie nie pójde, dopóki nie powiesz mi o co chodzi.

- O nic! - Ethel wybuchnęła gorzkim śmiechem. - Przed chwilą doszłam do wniosku, że jestem najgłupszą osobą na świecie.

- Nie mów tak. - Annie przysiadła na brzegu wanny. - To kompletna bzdura.

- Nie, to prawda. - Ethel wytarła czerwone od płaczu oczy. - Jak inaczej nazwać osobę w moim wieku, która wypłakuje sobie oczy z powodu mężczyzny?

- Masz na myśli Rexa?

- A kogóż by innego? Oczywiście, że mam na myśli tego przystojnego, pociągającego idiotę, którego nie obchodzę nic, ale to zupełnie nic.

- Nie wierzę! - wykrzyknęła Annie. - Powiedział ci to?!

- Oczywiście, że nie. - Ethel wyciągnęła z pudełka następną chusteczkę. - Rex nigdy nie powiedziałby wprost czegoś podobnego. Ale czyny znaczą więcej niż słowa, a w naszym przypadku nie było żadnych czynów, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Annie popatrzyła uważnie na Ethel, która wyglądała świetnie. Miała nową, bardzo twarzową fryzurę, subtelny makijaż i sukienkę, która podkreślała jej figurę. O co więc chodziło Rexowi?

- Przez cały zeszły tydzień dzwonił do mnie codziennie - ciągnęła Ethel. - Zaczęłam sobie wyobrażać, że naprawdę coś do mnie czuje. Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy do drugiej w nocy.

Dziwne, pomyślała Annie. Nie zainteresowany mężczyzna tak się nie zachowuje! Zresztą, jeśli Rex był chociaż trochę podobny do Cole'a, nigdy nie robiłby awansów kobiecie, wobec której nie ma poważnych zamiarów.

- Nadszedł czas, żebyś sama podjęła akcję zaczepną - zdecydowała.

- Słucham? - Ethel otworzyła szeroko oczy.

- Musisz złapać go na osobności i pokazać, co do niego czujesz.

- A co, jeśli mu się to nie spodoba?

- A co, jeśli mu się to spodoba? Umyj twarz i poszukaj Rexa. Dowiesz się, na czym stoisz.

Ethel przez chwilę rozważała taką możliwość.

- Muszę jeszcze nad tym pomyśleć-westchnęła ciężko. - Jedno jest najzupełniej pewne... nie mogę dłużej zachowywać się jak gęś.

- Annie! Jesteś tam? - rozległ się z dołu poirytowany głos Cole'a.

- Co się stało? - Wypadła z łazienki, zdziwiona jego tonem.

Spotkali się w połowie schodów.

- Masz gościa. - Na jego twarzy nie drgnął żaden muskuł.

- Jak to?

- Przyszedł twój narzeczony.

- Kto? - Annie znieruchomiała w pół kroku. Spojrzała w dół. Na środku pokoju stał postawny mężczyzna w kowbojskim kapeluszu i wysokich skórzanych butach.

- Roy? - wyjąkała zdziwiona jego widokiem w domu Cole'a, na - było nie było -jej zaręczynowym przyjęciu.

Sądząc z wyrazu twarzy innych gości, zdziwionych osób było tam znacznie więcej.

- Annie? - Roy też wydawał się zaskoczony.

- Jak ją tutaj znalazłeś? - Cole wysunął się przed Annie.

- Dzięki temu. - Pokazał wizytówkę Cole'a. - Mama powiedziała, że jak znajdę ciebie, to znajdę Annie. Mam ją zabrać do nas, na ranczo.

- Co się tutaj dzieje? - Rex przepchał się przez tłum gości i podszedł do nich.

- Dobre pytanie. - Roy rozejrzał się dookoła. - Wygląda na to, że macie tutaj przyjęcie.

- To zaręczynowe przyjęcie mojego syna. - Rex obrzucił Roya groźnym spojrzeniem. - Kim pan jest?

- Narzeczonym Annie.

- Niemożliwe! - Zdezorientowany Rex przenosił wzrok z Annie na Roya i z Roya na Cole'a. - Ona jest zaręczona z moim synem.

- No, to widzę - Roy skrzyżował na piersiach długie ramiona - że należy się nam kilka wyjaśnień.

Annie zobaczyła, jak w jej stronę zwróciły się wszystkie spojrzenia. Oblizła suche wargi. Nie miała pojęcia, jak zacząć.

- Może przejdziemy tam, gdzie jest mniej ludzi - zaproponowała słabym głosem.

- Dlaczego? - Roy oparł nogę na poprzeczce krzesła. - Mnie ludzie nie przeszkadzają, cukiereczku. No więc jak, jesteśmy narzeczonymi, czy nie?

- Nie. Już nie.

Roy zamrugał powiekami.

- Co?

- Przykro mi, Roy. - Annie wiedziała, że musi się spieszyć, bo nerwy zaraz odmówią jej posłuszeństwa. - Bardzo lubiłam dostawać od ciebie listy. Nie mam wątpliwości, że jesteś miłym facetem, ale - przełknęła ślinę - jestem zakochana w Cole'u.

- Jak to? Nie wierzę.

- Ale to prawda. - Annie mówiła teraz łagodnie, żeby urazić go najmniej, jak się da. - Przykro mi, że przyjeżdżałeś do miasta. Przepraszam, że sprawiłam kłopot tobie i twojej matce. Jesteś naprawdę miłym człowiekiem.

- Zaraz, zaraz. - Roy usiadł ciężko i rozpiął kołnierzyk sportowej koszuli. - Czuję się tak, jakby ktoś powoli obracał mnie nad płomieniem ogniska.

- Może to ci pomoże. - Cole wręczył mu puszkę zimnego piwa.

- Serdeczne dzięki. - Jednym haustem wypił całe piwo. - Teraz opowiedz mi całą historię, cukiereczku. Od początku.

Annie przysiadła obok niego. Nie spodziewała się, że Roy będzie aż tak zdruzgotany.

- Początek znasz - zaczęła. - Odpowiedziałeś na moją kartkę i poprosiłeś o zdjęcie. Pisaliśmy coraz więcej listów i w marcu mi się oświadczyłeś. Zaprosiłeś mnie na rancho na zapoznawczą wizytę. Tylko że kiedy przyjechałam do Denver, nie udało nam się spotkać.

Roy zwiesił głowę i oparł ją na rękach. Potem jęknął. Annie miała nadzieję, że nie zacznie płakać.

Cole podał mu następne piwo i poklepał uspokajająco po plecach.

- Nie martw się, chłopie. Jakoś to przeżyjesz.

- Może gdyby sprawy ułożyły się inaczej... - Annie położyła mu rękę na ramieniu i spojrzała bezradnie na Cole'a.

- To nieważne - przerwał jej ponuro Roy. - Mój los jest przesądzony.

Annie zbladła ze strachu. Ten ton! Roy chyba nie ma zamiaru zrobić sobie krzywdy! I to z powodu kobiety, której nigdy nie widział na oczy. Chociaż nigdy nie wiadomo...

- Roy! Nie bądź śmieszny. Jaka tam ze mnie partia...

- Annie ma rację - dodał Cole pocieszająco. - Unieszczęśliwiłaby cię, jak nic. Nie można przełknąć tego, co ugotuje. Rano nie da się z nią rozmawiać. Nie wypełnia żadnych poleceń. Bez pytania bierze moją maszynkę i goli nią sobie nogi. I zamierza zostać wegetarianką.

Taka lista wypłoszyłaby każdego kowboja. Ale Roy ani drgnął. Siedział z miną smutniejszą niż przedtem.

- Jestem pewna, że niedługo znajdzie się inna kobieta i zapomnisz o mnie.

- I tego właśnie się boję - wypalił. - Że znajdzie się jakaś inna. A potem następna. I jeszcze następna. Ona nie spocznie, dopóki mnie nie złapie i nie zaobrączkuje.

- Kto? - zawołali Cole i Annie chórem. Roy wypił następną puszkę piwa.

- Moja matka - wyjaśnił. - Zastanawiałem się, co w nią wstąpiło, kiedy kazała mi tu przyjechać po ciebie. Tyle razy jej mówiłem, że musisz być jakaś szaloną erotomanką.

- Ale dlaczego tak myślałeś? - wyjąkała Annie.

- Bo nie odpowiedziałem na żaden z twoich listów, a ty wciąż do mnie pisałaś. I nagle dowiedziałem się, że przyjeżdżasz do Kolorado, żeby wyjść za mnie za męża. Dopiero teraz wszystko zrozumiałem. Moja matka wymyśliła sobie plan. To ona pisała do ciebie, podpisując się moim imieniem.

Zapadła cisza. Nagle Cole stuknął się w głowę.

- To Hildy wysłała twoje zdjęcie do katalogu.

- Jasne! A wiecie, co napisała? - zgrzytnął zębami Roy. - „Samotny, przystojny kowboj poszukuje kochającej żony, która ogrzeje go w nocy”. Nawet sobie nie wyobrażacie, ile kobiet odpowiedziało na to ogłoszenie.

- Ja sobie wyobrażam. - Cole rzucił znaczące spojrzenie w kierunku swojego ojca.

Rex chrząknął i poruszył się niespokojnie.

- Chyba zaczyna brakować lodu - mruknął i szybko zniknął w kuchni.

Inni goście też odeszli - było jasne, że nie dojdzie już do żadnej awantury.

- Czy ja dobrze rozumiem? - zapytała Annie zadowolona i urażona jednocześnie. - Ty wcale nie chcesz się ze mną ożenić?

- Nie bierz sobie tego do serca, cukiereczku. - Roy połaskotał ją pod brodą. - Nie chodzi o ciebie. Ja w ogóle nie

chcę się żenić. Ale to nie odstraszy mojej mamuśki - najbardziej żarliwej swatki w całym stanie. Przecież ona oświadczyła się w moim imieniu!

- I nie tylko to - wzruszył ramionami Cole. - Szkoda, że nie widziałeś ankiety, którą wymyśliła.

- Nic mi nie mówiłeś o ankiecie! - napadła na niego Annie.

- Nie zrobiłem tego w twoim dobrze pojętym interesie. Chroniłem cię.

- Przed czym? - Zmarszczyła brwi. - Zatrudniłam cię jako detektywa, nie jako ochroniarza. Miałeś znaleźć Roya i tyle.

Roy przysłuchiwał się tej wymianie zdań z coraz bardziej zdziwioną miną.

- Chcesz powiedzieć, że wynajęłaś detektywa, żeby mnie szukał?

- Tak - zaczerwieniła się. - Bardzo chciałam cię znaleźć.

- Ale zamiast mnie znalazłaś jego. Cole podał Royowi następne piwo.

- Mam jeszcze jeden problem. Kim są ci inni faceci, którzy udawali, że są tobą? - zapytał.

- Jacy inni faceci? - Roy nawet nie przełknął piwa.

- Faceci, którzy przychodzili do hotelu „Regency” po wiadomości od Annie. Jeden był rudy i piegowaty jak indyjskie jajo, a drugi miał krzywe nogi i krzaczaste, siwe wąsy.

- A to zdraдлиwe skunksy! - wybuchnął Roy. - Mogłem się domyślić, że będą trzymać jej stronę.

- Kto?

- Nasi ludzie. Pracownicy. Mamuśka zwijała się jak w ukropie, żeby zwabić Annie na ranczo, zanim stąd zwieje.

- I nie wiedziałeś, że cię szukam?

- Nie. Co to, to nie. Wiedziałem. Nie przyszło mi na myśl, że za tym wszystkim stoi Hildy. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego jakaś zwariowana baba przyjeżdża do mnie, mimo że

nie zrobiłem nic, żeby ją do tego zachęcić. No, to zabrałem się i wyjechałem do Durango. Miałem nadzieję, że zrezygnujesz i dasz mi święty spokój.

Sięgnął do kieszeni.

- Jak widzisz, mama nie zrezygnowała. I kiedy powiedziała mi dzisiaj, że jeśli ja tego nie zrobię, sama przywiezie ciebie na ranczo, nie miałem wyjścia. Przyjechałem, żeby dać ci to jak najprędzej.

- A co to jest? Pierścionek zaręczynowy? - Annie przewidywała najgorsze.

Tymczasem Roy wręczył jej kopertę.

- Bilet autobusowy - powiedział. - Prosto do New Jersey. Ale muszę ci powiedzieć - uśmiechnął się do niej - że gdybym zwariował i rzeczywiście szukał korespondencyjnej narzeczonej, bardzo bym chciał, żeby wyglądała tak jak ty.

- Cieszę się, że sobie wszystko wyjaśniliśmy - włączył się Cole. - Zostań na przyjęciu, Roy, i baw się dobrze. Piwo jest w lodówce. My musimy wracać do gości.

Annie była mu wdzięczna za tę wymówkę, chociaż nie chciała wracać do gości. I tak zmarnowała mnóstwo czasu! Teraz musi porozmawiać z Cole'em.

Cole najwyraźniej wyczuł jej nastrój, bo wyprowadził ją z salonu na małe, słoneczne patio. Od ośnieżonych gór wiał rześki wiatr. Z ulgą wciągnęli w płuca świeże powietrze.

- W końcu sami! - Cole odwrócił jej twarz do siebie.

- Cieszę się, że mnie tu przyprowadziłeś. Muszę ci coś powiedzieć.

- Ja też.

- Mów pierwszy, bo ja mam dłuższą sprawę - stchórzyła w ostatniej chwili.

- A moja jest krótka. W sam raz na trzy słowa. - Cole przyciągnął ją do siebie. - Kocham cię, Annie

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Annie z niedowierzaniem patrzyła w brązowe oczy Cole'a. Była tak zdumiona, że nie mogła wykrztusić słowa. Rzeczywistość przeszła jej najśmielsze oczekiwania.

- Mogę to usłyszeć jeszcze raz?

- Wolę pokazać ci, co czuję - odparł lekko schrypniętym głosem i pocałował ją namiętnie.

Oddała mu pocałunek, ale przez cały czas gorączkowo analizowała sytuację. Po chwili nie była już w stanie myśleć i rozkoszowała się cudownymi doznaniem. Przyłgnęła do niego z całej siły i wtuliła się w mocne ramiona, oszołomiona pieścizną jego ust.

- Zostań ze mną, Annie. Naprawdę tego pragnę. Chcę z tobą być. - Przestał ją wreszcie całować i dotknął głową jej czoła.

Poczuła, że nogi się pod nią uginają. Cole się w niej zakochał. Niemożliwe! Przecież nie miała szczęścia do mężczyzn. To na pewno jakaś pomyłka.

- Jesteś pewny?

- Tak - odparł z uśmiechem. - Rzecz w tym, że nie potrafię sobie wyobrazić życia bez ciebie.

Nie uszło jej uwagi, że wykręca się ogólnikami, byle ominąć nienawistne słowo „małżeństwo”, ale nie dbała o to. Skoro Cole Rafferty nie zniesie mocniejszych więzów, należy przyjąć ze skwapliwą wdzięcznością wszystko, co może ofiarować. Może pewnego dnia... Nie powinna myśleć o przyszłości. Trzeba stosować zasadę, którą kierowała się przez kilka okropnych miesięcy i naprawdę żyć z dnia na dzień.

- Co ty na to, Annie? - zapytał i pocałował ją znowu, niecierpliwie i mocno.

Nim zdążyła odpowiedzieć, na patio wszedł Rex. Krótka, siwa czupryna była potargana, jakby wielokrotnie przeczesywał ją palcami.

- Przepraszam, że wam przeszkodziłem - mruknął, wsuwając ręce w kieszenie.

Skulił się, chociaż dzień wcale nie był chłodny. Cole stanął za Annie. Objął ją w pół i przytulił, opierając policzek na jej ramieniu.

- Tato, możemy zostać tu jeszcze chwilę? Wiem, że jesteśmy honorowymi gośćmi, ale mamy coś ważnego do obgadania. To nie potrwa długo.

Annie uśmiechnęła się. Wystarczy chwila. Tyle, ile trwa wyznanie, że kocha Cole'a. Rex odchrząknął i powiedział:

- Annie jest potrzebna w domu.

- Tu też nie mogę się bez niej obyć - odparł Cole, całując jej kark.

- Ktoś o nią pyta.

- Kto? - spytała, tuląc się do Cole'a.

- Twój narzeczony - odparł z wyrzutem Rex.

- To ja jestem jej narzeczonym - oznajmił Cole, wyciskając całusa na jej policzku.

Rex splótł ramiona na piersi i zmrużył oczy.

- Ten drugi mówi to samo.

- Masz na myśli Roya? - Annie próbowała się skupić.

- Nie, zgłosił się następny konkurent. - Rex wyciągnął rękę w stronę domu i wskazał salon widoczny przez oszklone drzwi. - To już trzeci.

Odnalazła wzrokiem ostatniego gościa, który zjawił się na przyjęciu i znieruchomiała. Quinn Vega w końcu ją odnalazł.

Chwiejnym krokiem weszła do salonu.

- Annie, skarbie - zawołał Quinn i podbiegł do niej natychmiast.

Był jak zawsze wytworny i elegancki, ale brakowało mu prostoty i naturalności Cole'a. Ze zdumieniem zastanawiała się, dlaczego kiedyś jej się podobał. Dobrze, że odkryła, iż ten niebezpiecznie przystojny mężczyzna ma podły charakter.

- Bałem się, że już nigdy cię nie odnajdę. - Przytulił ją mocno, a ona wyczuła pistolet, który ukrywał w kieszeni.

Metalowa lufa wsunęła się jej pod żebra. Annie od razu wiedziała, co chce jej dać do zrozumienia. Odetchnęła z ulgą, gdy wypuścił ją z objęć. Cofnęła się niezdarnie i wpadła na stojącego z tyłu Cole'a, który z wściekłością patrzył na intruza.

- Kim pan jest, do cholery?

- Nazywam się Vega. Quinn Vega. - Wyciągnął rękę. - Jestem narzeczonym Annie.

- Bzdura! - rzucił opryskliwie Cole, nie zwracając uwagi na podaną dłoń. - To ja jestem jej narzeczonym.

Przymknęła oczy. To jakiś koszmar! Niestety, słaba nadzieja, że się z niego obudzi. Kiedy uniosła powieki, zobaczyła idącego w ich stronę Roya, z butelką piwa w ręku i głupkowatym uśmiechem na twarzy.

- Hej! Ja też jestem z nią zaręczony - powiedział, klepiąc Quinna po ramieniu. - Warto by założyć klub, chłopcy. - Odwrócił się do Annie. - Ilu jeszcze facetów wybrałaś sobie z katalogu?

- Jakiego katalogu? - Quinn zmarszczył ciemne brwi.

- Mam na myśli ogłoszenia matrymonialne - wyjaśnił Roy, pociągając spory łyk piwa. - W specjalnym dodatku do gazety publikuje się fotki mężczyzn do wzięcia, a kobiety szukają wśród nich odpowiedniego kandydata. Wpadłem Annie w oko.

- Potem wybrała mnie - odparł Cole i zacisnął usta.

- Ale ja byłem pierwszy - wzruszył ramionami Quinn. Jeden z gości zachichotał i zawołał głośno:

- Prawdziwy narzeczony - wystąp!

- Annie, myślę, że jesteś winna mojemu synowi wyjaśnienie. Zresztą wszyscy chcielibyśmy wiedzieć, co się tutaj dzieje. - Rex Rafferty stanął obok syna i zacisnął wargi w cienką kreskę.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Quinn objął ją w talii tak mocno, że z trudem złapała dech.

- Zaraz wszystko wytłumaczę - zaczął gładko. - Annie jest bardzo zasadnicza i dość porywczą. Strasznie się pokłóciliśmy i dziś gotów jestem przyznać, że to była moja wina. Wtedy byłem zbyt uparty, żeby się do tego przyznać. Annie groziła, że zrobi jakieś głupstwo. - Zakłopotany pokręcił głową. - Nie sądziłem jednak, że posunie się do tego, żeby szukać męża z ogłoszenia.

- Nie ty jeden - mruknął Roy, sięgając po kolejne piwo.

- Wybaczam ci - dodał Quin, przytulając ją mocniej. Wzdrygnęła się, czując na karku jego gorący oddech. - Wiem, że wiele ostatnio przeszłaś. Mam na myśli wypadek oraz jego następstwa.

- Jaki wypadek? - Cole zacisnął dłonie w pięści.

- Fotograf, z którym pracowała, został pobity, kiedy robił zdjęcia w podłej dzielnicy. Tak nią to wstrząsnęło, że uciekła z miasta. Nie zwierzyła się nikomu, nawet mnie. Facet nazywa się Costello, Jared Costello. Ma się już lepiej. - Quinn Vega w zadumie pokiwał głową. - Dostał nauczkę, żeby nie pchał się tam, gdzie go nie chcą.

Annie daremnie próbowała wysunąć się z objęć Quinna.

- Tak się cieszę, że cię w końcu odnalazłem. Przyrzekam, kochanie, że wszystko między nami ułoży się teraz zupełnie inaczej. - Powiedział to z takim sarkazmem, że Annie poczuła dreszcz przerażenia; Quinn postanowił ukarać ją za zdradę.

- Chwileczkę - rzucił Cole. - Co będzie z nami, Annie?

Wstrzymała oddech i wbiła paznokcie w dłonie. Najchętniej rzuciłaby się w jego ramiona i wyznała mu miłość. Tak, żeby wszyscy usłyszeli, że go kocha. I nagle uświadomiła sobie, co by wówczas zrobił Quinn. Przymknęła oczy. Cole nie wiedział, że to wyjątkowo niebezpieczny człowiek. Nie zdążyła mu tego powiedzieć! Dlaczego tak długo zwlekała?!

Pistolet ukryty w kieszeni nie był teatralnym rekwizytem. Quinn Vega używał go chętnie i często. Wystraszona nie śmiała nawet oddychać, ale szybko wzięła się w garść. Podjęła decyzję. Złamie Cole'owi serce, ale ocali mu życie.

- Przyniosłam koreczki serowe! - zawołała Lenore, wchodząc do salonu z tacą pełną małych przekąsek. Na widok niewielkiej grupki stojącej pośrodku salonu dodała: -Dobry Boże! Kolejny gość!

- Powiedz raczej: kolejny narzeczony Annie - wymamrotał Rex z poczerwieniałą ze złości twarzą.

Lenore odstawiła tacę i podeszła do syna.

- Z tego wynika, że ta dziewczyna nie jest odpowiednim materiałem na żonę. Na moich warsztatach podobną sytuację nazywamy „znakiem”.

Annie zerknęła na Cole'a stojącego nieruchomo między rodzicami. Przecież sam chciał mieć narzeczoną z piekła rodem! Powinien być zadowolony, a jednak miał ponurą minę. Serce jej się krajało, kiedy na niego patrzyła. Żal jej było Lenore i Rexa. Westchnęła głęboko, bo uświadomiła sobie, że nie ma wyboru. Musi wyciągnąć stąd Quinna Vegę, zanim narobi więcej szkód.

- Co dalej, Annie? - zapytał cicho Cole. Słyszała niepokój w jego głosie. - Kogo wybierasz: mnie czy Vegę?

Czuła, że stojący za nią Quinn napiął mięśnie i wsunął rękę do kieszeni marynarki. Annie czuła, że robi jej się sucho w ustach. Wszyscy patrzyli na nią. Gardło miała ściśnięte.

- Wybieram Quinna - powiedziała z trudem.

Rex wszedł do sypialni, w której do dzisiaj spała Annie i podał Cole'owi butelkę zimnego piwa.

- Lepiej ci będzie w życiu bez niej.

- Sam to wiem - burknął Cole, zacisnął wargi i utkwiał wzrok w drzwiach garderoby rozbitych jego własną pięścią.

Po chwili zreflektował się i doszedł do wniosku, że nawet jeśli zdemoluje cały dom, Annie i tak nie wróci. Zresztą już jej nie chciał. Nabrała go. Oszukała. Zacisnął dłoń wokół zimnej butelki. Damski szlafrok wisiał ciągle na drzwiach, a otwarta torba podróżna stała na łóżku. Szczotka i grzebień leżały na toalecie. Tylko Annie nie było.

- Niech to wszyscy diabli - zaklął i pociągnął spory łyk.

To nie do wiary. Trzymał ją w objęciach i całował, a w chwilę później jak diabeł z pudełka pojawił się jej narzeczony i zgarnął mu ją sprzed nosa. Okazało się, że on nie jest najważniejszy. Najważniejszy był narzeczony numer jeden. Quinn Vega.

Facet przypominał sprytnego handlarza, sprzedającego używane samochody. Te jego okrągłe zdanka, przebiegły uśmiech... Ten elegancki garnitur, rozbiegane oczy. Roy byłby sto razy lepszy dla Annie. Cole oczywiście byłby najlepszy, ale Annie najwyraźniej była innego zdania.

- Wiem, że to trudna chwila dla ciebie, synu. - Rex usiadł na łóżku i poklepał go po kolanie. - Ethel pozbywa się teraz gości, a matka odwozi Roya do domu. - Pokręcił głową.

- Zalał się w trupa, wiesz?

- Muszę za to wypić - mruknął Cole, podnosząc butelkę do ust.

- Cholera. To wszystko moja wina - zaklął Rex. - Nie powinienem nalegać, żebyś znalazł sobie dziewczynę i ustatkował się wreszcie.

Cole przez chwilę miał ochotę opowiedzieć mu o narzeczonej z piekła rodem, którą wymyślił tylko po to, żeby

- wbrew woli Rexa - nie ustatkować się, ale zrezygnował.

- Tato, przestań się zadrećzać. Mogę winić tylko siebie.

- Daj spokój, synu. Od dawna żyję samotnie i dlatego marzą mi się wnuki. Dzięki nim miałbym jakieś zajęcie. Mniejsza z tym. To przecież twoje życie. Nie spiesz się. Potrzebujesz czasu, żeby o niej zapomnieć. Na jakiś czas daj sobie spokój z dziewczynami.

Takie słowa chciał usłyszeć przed dwoma tygodniami. Cole zacisnął powieki. Sprytny plan udał się wspaniale. Annie wybrała Quinna Vegę i poszła sobie, nawet się nie oglądając. Tak się spieszyła, że nawet nie zabrała swoich rzeczy.

- Bierz przykład ze mnie, synu - ciągnął Rex, przełknąwszy łyk piwa. - Człowiek musi bardzo uważać, żeby po raz drugi nie trafić na jakąś żołą.

- Co ty mówisz, tato! - Cole machinalnie pocierał skroń. Bolała go głowa. - O ile mi wiadomo, po rozwodzie z mamą ani razu nie próbowałeś z kimś się umówić.

- Racja. Unikałem bab, żeby nie trafić na żołą. Poza tym pracowałem, więc byłem ciągle zajęty. - Rex westchnął. - Ale wiesz, odkąd nie jeżdżę do biura, myślę sobie czasami, że osiem lat samotności to chyba przesada.

Cole leżał ze ściśniętym gardłem i myślał o Annie. Rzuciła go przed godziną, która ciągnęła się jak wieczność.

Po chwili milczenia Rex dodał:

- Doszedłem do wniosku, że zamiast ciebie swatać, zajmę się teraz własnymi sprawami i znajdę sobie jakąś miłą partnerkę.

Cole słuchał go z roztargnieniem. Wciąż miał przed oczami zwodniczo uśmiechniętą twarz Antonii Kathleen Bonacci, jej niezwykle fioletowoniebieskie oczy. Nie mógł zapomnieć o czułych z pozoru pocałunkach. Trudno mu będzie wyrzucić z serca tę miłość.

- Tato - powiedział cicho - chciałbym zostać sam.

- Jesteś tego pewny? - dopytywał się Rex. Zerknął na pęknięte drzwi do garderoby, a potem wstał i wyszedł.

Cole rzucił się na łóżko. Ciekawe, czy Annie już o nim zapomniała. Przetoczył się na bok, oparł na łokciu i popatrzył na zapomnianą torbę. Po chwili wahania wyjął z niej flanelową nocną koszulę i przytulił do policzka, wdychając znajomy zapach. Po chwili rzucił ją na podłogę.

- Jesteś żaloszny, Rafferty - powiedział na głos. Usiadł, zdecydowany wyrzucić do śmietnika wszystkie

rzeczy, które przypominały mu Annie. Chwycił torbę i nagle jakiś kolorowy przedmiot zwrócił jego uwagę. Sięgnął do środka i wyjął oprawiony w czerwoną skórę notatnik ze złotymi brzegami.

Zapiski Annie. Otworzył notes i na pierwszej stronie zobaczył ostrzeżenie: ściśle tajne. Wielkie czarne litery i wykrzyknik na końcu. Cole wzruszył ramionami. Dla prywatnego detektywa taki dziennik to prawdziwy skarb. Zawahał się jednak. Czy naprawdę chce wiedzieć więcej o Annie Bonacci?

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytała.

Siedziała na tylnej kanapie czarnej limuzyny Quinna, wciśnięta w kąt - byle dalej od niego.

Trzymała dłoń na klamce, w nadziei, że uda jej się wyskoczyć na czerwonym świetle i zwiać. Nagle usłyszała trzask centralnego zamka i od razu wiedziała, że kierowca domyślił się, co knuje.

- Zawsze zadawałaś za dużo pytań, Antonio. - Vega pokręcił głową. - Kobieta nie może tyle gadać. Szkoda, że nie rozumiałaś tego wcześniej.

- Chyba powinieneś napisać podręcznik dobrych manier dla gangsterów. - Annie położyła ręce na kolanach, żeby ukryć ich drżenie. - Z aneksem dla ich partnerek. Chcesz, to ci podrzucę kilka punktów: Nie zadawaj zbyt wielu pytań. Zawsze miej w torebce zapasowe naboje. Nie narzekaj, kiedy zobaczysz na podłodze ślady mokrego cementu.

- Zawsze umiałaś mnie rozśmieszyć, Antonio. Z jednym wyjątkiem. Nie śmiałem się, kiedy zauważyłem, że skradłaś mój notatnik. Gdzie on jest?

Poczuła na twarzy wrogie spojrzenie ciemnych oczu. Potem uświadomiła sobie, że w domu Cole'a zostały wszystkie jej rzeczy. Nie miała ubrania na zmianę ani szczoteczki do zębów. Co gorsza - zapomniała też o notatniku.

- Zgubiłam.

Quinn przysunął się do niej i syknął groźnie:

- Nie pora na żarty. Jestem pewny, że kłamiesz. Zaczynamy wszystko od początku?

- Nie - odparła wystraszona. Modliła się w duchu, żeby Cole nie znalazł czerwonego notesu. - Został w Newark.

- Niezła sztuczka, Antonio, ale nie dam się nabrać. Oboje wiemy, że kłamiesz. - Chwycił ją za ramię i mocno ścisnął. - Moi chłopcy przewrócili twoje mieszkanie do góry nogami i niczego nie znaleźli. To znaczy, że masz go przy sobie.

- Nie mam. - Wyciągnęła przed siebie puste dłonie. Nie dawała po sobie poznać, że sprawił jej ból.

- W takim razie ma go tamten facet. - Vega uśmiechnął się zimno. Dreszcz przerażenia przebiegł Annie po plecach. - Twój niby-narzeczony. Rafferty, tak?

- To nie jest mój narzeczony!

- A kto, jeśli wolno wiedzieć?

- Prywatny detektyw. Wynajęłam go, żeby znalazł Roya.

- Aha, mówisz o narzeczonym numer dwa. - Vega rozsiadł się wygodnie na skórzanej kanapie. - Zaradna z ciebie dziewczyna. Ciekawe, ilu facetów udało ci się usidlić? Wolę wiedzieć, co mnie jeszcze czeka.

W milczeniu pokręciła głową. Miała gęsią skórę. To wszystko przez tę klimatyzację. Przejechała dłońmi po obnażonych ramionach, jakby próbowała się ogrzać.

- Nie? To doskonale. Może jestem nieco staromodny, ale moim zdaniem trzech narzeczonych to stanowczo za dużo. Jeden powinien ci wystarczyć. Chcę cię mieć tylko dla siebie.

- O czym ty mówisz? - wykrztusiła z trudem.

- Nadal jesteśmy zaręczeni, kochanie. Póki nie znajdziemy notatnika, jesteś na mnie skazana. To cena twojej wolności, Antonio. W przeciwnym razie do końca życia będziesz ze mną nieszczęśliwa.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Cole przeglądał notatnik z wypiekami na twarzy. Tak bardzo chciał poznać sekrety Annie, że zaczął go czytać mimo głębokiego przekonania, że nie należy tego robić.

Już po kilku stronach zorientował się, że nie są to jej zapiski. Właścicielem notesu musiał być Vega.

I jeszcze z czegoś zdał sobie sprawę.

Był kompletnym idiotą!

Albo marnym detektywem, co i tak na jedno wychodziło.

Kiedy Vega pojawił się na przyjęciu, Cole był przekonany, że Annie zamarła ze szczęścia. A tymczasem paraliżował ją strach. Wziął notes w obie ręce i walnął się nim w czoło.

Dlaczego nie domyślił się wcześniej? Wprawdzie Annie wspomniała, że działała w przebraniu, ale nie zająknęła się nawet słowem, jakie to było przebranie. Tymczasem udawała jego dziewczynę. Facet musiał być wściekły, kiedy wszystko się wydało.

Teraz Annie jest w niebezpieczeństwie, a on traci czas, zamiast biec jej na pomoc. Krew burzyła mu się w żyłach na samą myśl o długich palcach Vegi zaciśniętych na jej ramieniu. Skoczył na równe nogi i pognął na dół po pistolet.

Gwałtownym ruchem otworzył drzwi garderoby i odskoczył zdumiony, kiedy ze środka dobiegł stłumiony okrzyk.

- Co, do diabła!

Z niedowierzaniem patrzył, jak z pomiędzy płaszczy i marynarek wyłania się twarz Rexa.

- Co ty tutaj robisz? - warknął na syna.

- Co ja tutaj robię?! Co ty robisz w mojej garderobie?
Wtedy zza ramienia Rexa wychynęła inna twarz, równie
znajoma.

- Ethel? - Cole stał z szeroko rozdziawionymi ustami i nic
nie rozumiał. - Urządziliście sobie randkę w mojej garderobie?

- Tak. - Rex przyciągnął Ethel do siebie. - Przecież ci
mówiłem, że zamierzam znaleźć sobie jakąś miłą partnerkę.

- Nie myślałem, że zaczniesz natychmiast.

- To moja wina - uniosła głowę Ethel. - Sama zaczęłam.

- A ja dostałem niespodziewany prezent. A teraz, synu -
Rex wyciągnął rękę, żeby zamknąć drzwi - chcielibyśmy
zostać sami.

- Zaraz. - Cole zablokował drzwi nogą. - Wezmę tylko
pistolet. Idę szukać Annie.

Ethel wyrwała się z objęć Rexa.

- Nie, Cole! - krzyknęła. - Wiem, że kochasz tę
dziewczynę, ale niczego nie da się załatwić przemocą. Rex,
zrób coś! Trzeba go związać.

I zanim Cole zdążył wyjaśnić, ojciec złapał go wpół.

- Gdzie masz sznur? - wysapał. Cole z ubolewaniem
wzniósł oczy.

- Nawet gdybym miał sznur, to i tak bym ci nie
powiedział, gdzie jest. Słuchajcie, muszę lecieć. Annie ma
kłopoty.

- Jest z tobą w ciąży?

Cole miał ochotę wyć. Niepotrzebnie tracił cenny czas.

- Nie. Nie mówię o takich kłopotach. Chodzi o Vegę. To
groźny gangster. Annie zbierała materiały do reportażu o nim,
kiedy wszystko się wydało. Musiała uciekać, ale on wyszedł,
że jest w Denver. Teraz jest w jego rękach. Muszę ją ratować.

- Czy ty nie jesteś aby pijany?

- Oczywiście, że nie. - Cole zapinał paski kabury. - Jeśli chcesz poznać szczegóły, przeczytaj jego notatnik. Jest na górze. Aha, i dzwoń po policję.

- Czy chociaż wiesz, gdzie ich szukać? - zapytał Rex. Cole przeczesał palcami włosy. Nie, o tym jeszcze nie pomyślał.

- A bo ja wiem? Sprawdzę lotnisko. I dworce autobusowe...

Dokładnie wtedy odezwał się telefon.

- To na pewno Annie! - podskoczył Cole.

Uciekła. Zapomniał, jak świetnie sobie radzi w każdej sytuacji. To naprawdę zaradna i odważna kobieta.

- Annie?! - krzyknął w słuchawkę.

- Cole? - odezwał się kuszący, kobiecy głos. - Mówi Ingrid. Ingrid Tate z hotelu „Regency”.

- Słuchaj, Ingrid, przepraszam, ale nie mam teraz czasu.

- Już chciał się rozłączyć, kiedy usłyszał coś, czego się nie spodziewał.

- Chodzi o twoją narzeczoną - westchnęła współczująco.

- Sama nie wiem, jak ci to powiedzieć...

- Szybko, Ingrid. Powiedz to szybko.

- Ona robi z ciebie durnia, Cole. Widziałam to na własne oczy. Od razu mówiłam, że to nie jest kobieta dla ciebie.

- Kiedy ją widziałas? - Zacisnął palce na słuchawce.

- Przed chwilą. Była z innym mężczyzną. Wyglądali na bardzo dobrych znajomych. I on przez cały czas trzymał ją...

- Gdzie?

- No, w pasie...

Zagryzł usta ze złości. Że też takie idiotki chodzą jeszcze po świecie.

- Pytam, gdzie ją widziałas?!

- Tutaj - odpowiedziała obrażonym tonem. - Nie rozumiem, dlaczego na mnie krzyczysz. Wynajęli najdroższy apartament, jaki mamy w hotelu.

- Zaraz tam będę,

- Miałam nadzieję, że tak powiesz. Ale nie musisz się spieszyć. Pracuję do ósmej. Ale potem... obiecuję ci, że nie będziesz żałować. Od razu zapomnisz o tamtej. Obiecuję.

- Jesteś cudowna, Ingrid, ale ja chcę tylko Annie.

- Ale ona jest z innym facetem!

- Nie na długo! - i Cole odłożył słuchawkę.

Annie chodziła tam i z powrotem po pokoju. Pluszowy dywan tłumiał odgłos jej kroków. Vega wyszedł i zostawił ją samą. Nie miała pojęcia ani gdzie poszedł, ani co zamierza z nią zrobić.

Jej wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach. Wyrzuci ją ze swojego odrzutowca? Utopi w rzece Hudson po powrocie do New Jersey? Ani przez chwilę nie wierzyła, że zostawi ją w spokoju. Vega nigdy nie wybaczał tym, którzy go zdradzili.

Wyjrzała przez okno. Dwunaste piętro. Bez rynny. Tym razem nie powtórzy numeru z Newark. A gdyby tak schować się w brudnej bieliźnie? Wyląduje bezpiecznie w pralni... Tak. Dobrze. Ale tu nie było żadnej brudnej bielizny. Ani działającego telefonu. Vega przed wyjściem wyrwał wszystkie kable.

Siedziała w pięciogwiazdkowym więzieniu bez najmniejszej szansy ucieczki.

Usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach. Tak dobrze było jej w ramionach Cole'a. Czowała się bezpieczna i kochana. Potem pojawił się Vega, a wraz z nim jej pech. Ale - wyprostowała się nagle, tknięta niespodziewaną myślą - może nie powinna zwać wszystkiego na zły los i poddawać się bez

walki? Tym bardziej że nareszcie spotkała mężczyznę, o którego warto było walczyć.

Jeszcze raz przemyślała sytuację. Skoro wyprowadziła w pole samego Vegę, na pewno przechytrzy tego kretyna, który ją pilnuje.

Podeszła do drzwi i leciutko nacisnęła klamkę. Okazało się, że nie są zamknięte na klucz. Wspomniany kretyn nie był uszczęśliwiony, kiedy zobaczył ją w progu.

- Wracaj do środka - warknął.

- Cześć - zmusiła się do uśmiechu. - Jestem Annie. A ty?

- Benedick.

- Benedick? Jakie niezwykle imię! Podoba mi się. Olbrzym rozluźnił się trochę.

- Mama dała mi imię swojego ulubionego bohatera. Wiesz - z „Wiele hałasu o nic” Szekspira. Uwielbiała Szekspira.

Skrzyżował ramiona na wielkiej piersi.

- Ja osobiście wolę tragedie. Takiego „Makbeta” na przykład.

No dobrze, może nie był aż takim kretynem.

- Ja najbardziej lubię „Poskromienie złośnicy”. Może byś wszedł do środka? To chyba nudno tak stać i stać.

- Szef dobrze mi płaci za stanie - odpowiedział szorstko. Annie ostentacyjnie zerknęła na zegarek.

- Jak chcesz. To ja lecę. Zrobiło się późno.

- A gdzie ty się wybierasz? - Zatrzymał ją jednym ruchem dłoni.

- Na kolację. - Zamrugwała niewinnie powiekami. - Quinn umówił się ze mną w restauracji na dole, punktualnie o siódmej. Bądź miły, to przyniosę ci coś pysznego.

Jednak Benedick ani myślał ją puścić.

- Dostałem wyraźne polecenie. Nikt nie wchodzi ani nie wychodzi z tego pokoju.

- Ale mnie to nie dotyczy. Jestem narzeczoną Quinna. A Qu-inn nie będzie zachwycony tym, że siedzi sam w restauracji.

- Nie - powiedział twardo. - Rozkaz to rozkaz.

Drzwi windy otworzyły się z szumem. Annie odprowadziła wzrokiem starszą parę, która wyszła na korytarz. Potem, zniemacka, kopnęła Benedicka w brzuch i uwolniła rękę. Miała nadzieję, że dopadnie windy, zanim ta odjedzie. Niestety. Była dopiero w połowie drogi, kiedy muskularna ręka złapała ją w pasie. Znalazła się wysoko w powietrzu.

- Puść mnie! - wrzasnęła, wymachując nogami. Waliała go pięściami po żebrach, ale nawet nie drgnął. Bez słowa otworzył drzwi i wrzucił ją do pokoju. Mogła sobie krzyczeć do woli - ściany w hotelu „Regency” były dźwiękoszczelne. Zastanawiała się, czy warto byłoby napełnić wannę i poczekać aż woda przeleje się na niższe piętra, kiedy rozległo się pukanie.

Vega! Podskoczyła ze strachu. Ale przecież Vega nie pukałby do drzwi swojego pokoju.

- Kto tam?

- Kelner.

Dobrze. Może po kolacji będzie się jej lepiej myśleć. Otworzyła drzwi i zatkała usta, żeby nie krzyknąć z radości.

- Cole!

Wtaczając przez próg wózek z jedzeniem, rozejrzał się ostrożnie.

- Czy jest Vega? — zapytał cicho.

Annie potrząsnęła tylko głową i rzuciła mu się w objęcia.

- Chwała Bogu, że nic ci się nie stało - szepnął jej do ucha.

- Myślałem już... Zresztą, mniejsza o to.

- Mogę sobie wyobrazić, co o mnie myślałeś. - Odsunęła się o krok, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. - Okłamywałam cię przez cały czas.

Cole ujął jej twarz w dłonie i pokrył ją delikatnymi pocałunkami.

- Przyjęłam oświadczenia Quinna, żeby napisać artykuł - mówiła Annie, czując jego wargi na czole. - Przyjęłam oświadczenia Roya, żeby mieć spokojne miejsce do pisania.

- Usta Cole'a dotknęły najpierw jej lewej, a potem prawej brwi. - Potem wykorzystałam cię. Wszystko dlatego, że byłam przerażona i bliska załamania psychicznego. Nie przyszło mi do głowy, że Vega może zagrozić twojej rodzinie. Zachowałam się jak idiotka.

- Nie mów tak o kobiecie, którą kocham - przerwał jej.

- W końcu ja też wykorzystałam twoją obecność. Przecież wiedziałem, że się zgodzisz, bo nie masz innego wyjścia.

Uśmiechnął się i przejechał palcami po jej policzku.

- I dostałem za swoje - dodał. - Nawet nie zauważyłem, kiedy zakochałem się w tobie bez pamięci. Dlatego zachowałem się jak zazdrosny debil bez odrobiny mózgu, kiedy odeszłaś z Vega. Zrozumiałem wszystko, dopiero kiedy przeczytałem jego notatki.

- No, to wiesz, że umie być naprawdę niebezpieczny.

- Annie obmacywała go dłońmi, jakby chciała się przekonać, że to naprawdę on. - Jak ci się udało sforsować ochronę?

- Mówisz o tym neandertalczyku przed drzwiami? - zaśmiał się. - Proste. Napuściłem na niego własnego neandertalczyka. Wziąłem ze sobą Bruna.

- Bruna?

- Ale on ma sierpowego - gwizdnął z podziwem Cole.

- Przypominaj mi, żebyśmy nigdy nie stawał mu na drodze.

- Chyba już za późno - machnęła ręką. - Nie rozumiem, jakim cudem zgodził ci się pomóc?

- Zupełnie zwyczajnie. Liczy się twardy szmal. Za to, co ode mnie dostał, może zapłacić ortodoncie za aparat dla córki. Powiedział, że dziewczynka napisze do mnie list dziękczynny.

Przyciągnął ją do siebie i przytulił.

- Resztę opowiemy sobie w samochodzie. - Pociągnęła go do drzwi. - Chodźmy stąd, zanim wróci Vega.

- Nie denerwuj się tak bardzo - zatrzymał ją Cole. - Jeśli wróci Vega, to Bruno się nim zajmie. Zresztą policja już tutaj jedzie. Jesteś bezpieczna.

Dokładnie w tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczył Vega. Na widok Cole'a otworzył oczy ze zdumienia.

- Widzę, że mamy towarzystwo - mruknął, wyciągając błyskawicznie pistolet zza paska.

Annie głośno przełknęła ślinę, widząc, że Cole też trzyma w ręce swoje magnum kaliber 357. Stał pomiędzy nią a Vega, wyraźnie blokując tamtemu drogę.

- Daj spokój, Vega - warknął Cole. - Policja już tu jedzie.

- Mam nadzieję, że dadzą się przekupić równie łatwo jak ten tam na korytarzu - uśmiechnął się złośliwie Vega. - Nie martw się o mnie, Rafferty. W razie gdybyś nie wiedział, powiem ci, że Quinn Vega zawsze dostaje to, co chce. Oddaj mi mój notes, a ja wypuszczę Annie.

Bezczelne kłamstwo, pomyślała. Vega nigdy jeszcze nie darował nikomu, kto go zdradził. Ale co jej szkodzi potargować się trochę? Chodziło o życie Cole'a.

- Oddam ci notes - wtrąciła się - pod jednym warunkiem.

- Zapominasz, maleńka, ty nie możesz stawiać żadnych warunków - powiedział Vega złośliwie.

Udawała, że nie słyszy. Zrobiłaby wszystko, żeby Cole wyszedł stąd bezpiecznie.

- Niech Cole jedzie po notes i zostawi ci go na dole w recepcji.

- A ty zostaniesz tutaj jako zastaw? Kiwnęła głową.

- Dobrze. Masz trzydzieści minut - zwrócił się do Cole'a. - Ale jeśli wrócisz z policją, nie zobaczysz jej żywej.

- Zwariowałeś, jeśli sądzisz, że zostawię ją z tobą sam na sam.

- Dwadzieścia dziewięć minut.

- Cole, idź, proszę. - Annie widziała, że Cole'owi niezbyt odpowiada jej propozycja.

- Kocham Annie i nie zamierzam się stąd ruszyć. - Cole nie spuszczał wzroku z Vegi.

To nie był najlepszy moment na składanie deklaracji miłosnych, ale Annie i tak uznała się za najszczęśliwszą kobietę pod słońcem. Teraz należało zrobić coś, żeby tego szczęścia nie utracić.

Dokładnie zlustrowała wózek z jedzeniem. Nic. Ani noża, ani widelca. Przecież nie wyleje mu na głowę zupy! Chociaż gorąca zupa może się przydać... W głowie powoli rodził się pomysł.

- Ja też cię kocham, Cole - powiedziała cicho. Może już nigdy nie mieć szansy, żeby mu to powiedzieć.

- Jakie to romantyczne! - skrzywił się Vega, odbezpieczając broń. - Rozumiem, że postanowiliście umrzeć razem. Z chęcią oddam wam tę przysługę.

Annie zrozumiała, że nadeszła odpowiednia chwila. Złapała wazę za jedno ucho i cisnęła nią w Vegę. Gęsta, biała zupa rozprysła się dookoła. Annie poczuła na twarzy drobne, zimne krople.

- Cholera! - mruknęła. - Ja to mam pecha. W wazie był chłodnik.

Cole zdążył jednak skorzystać z zaskoczenia Vegi i skoczył mu na plecy. Teraz obaj tarzali się po podłodze,

próbując wyrwać sobie broń. Któryś z pistoletów wystrzelił, rozbijając w drobny mak jedno z okien. Kiedy przetoczyli się tuż pod stopy Annie, skorzystała z okazji i celnym kopnięciem wybiła Vegę pistolet z dłoni.

Cole szybko dokończył dzieła. Przygwoździł Vegę do ziemi, odwrócił na brzuch i sprawnym ruchem założył mu kajdanki.

I wtedy rozległo się wściekłe pukanie do drzwi.

- Co się tu, u diabła, dzieje? - syknęła Ingrid, stając w progu.

Rozejrzała się dookoła i podniosła broń z podłogi. Położyła palec wskazujący na spuście i wymachiwała pistoletem na prawo i lewo.

- Zabij go! - wycharczał Vega z podłogi.

- Wolałabym zabić ją, ale niestety nie wolno strzelać do gości. To niezgodne z naszymi zasadami. - Ingrid przeszła Annie nienawistnym wzrokiem. - Żądam wyjaśnień - ciągnęła.

- Para z sąsiedniego numeru twierdzi, że tutaj odbywa się regularna orgia. Na dole Bruno rzuca studolarówkami. A jakiś wyjątkowo atrakcyjny młody człowiek leży nieprzytomny na korytarzu. Co tu się dzieje?

- To długa historia - zaczęła Annie.

- A dlaczego ten facet na podłodze - Ingrid z odrazą spojrzała na zalanego zupą Vegę - twierdzi, że jesteś jego narzeczoną?

- To jeszcze dłuższa historia. Mam nadzieję, że wszystko wyjaśni się podczas śledztwa.

Ingrid wzruszyła ramionami i spojrzała wymownie na Cole'a.

- Ta kobieta ucieka od ciebie, kłamie jak najęta, o mało nie pozbawia cię życia, a ty wciąż za nią latasz. Jak długo to jeszcze potrwa?

- Całe życie - rozpromienił się Cole i pocałował Annie.

- Annie! Nigdy nie wierzyłem, że ten dzień nadejdzie - pokręcił głową Cole.

Stali tuż przy parkiecie, na którym czule objęte pary kręciły się powoli w takt muzyki.

- Cieszysz się? - zapytała.

- Jeszcze pytasz! Przyjęcie z okazji odejścia Ethel na emeryturę! Marzyłem o tym od dawna.

- Ale będzie ci jej trochę brakowało. Przyznaj się! - Annie żartobliwie pogroziła mu palcem.

- No, może trochę - zaśmiał się. - Nie stójmy tu. Czy zechce pani zatańczyć ze mną, panno Bonacci?

- Z przyjemnością.

Mimo że od miesiąca nie było dnia, którego nie spędziliby razem, wciąż nie mieli dosyć swojego towarzystwa. Annie ciągle nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Muszę zadać ci pewne pytanie. - Cole okręcił ją dokoła siebie, aż straciła równowagę. - Chciałem to zrobić dużo wcześniej, ale nie było okazji. Najpierw zbieraliśmy materiały przeciwko Vedze, potem trzeba było przygotować wszystko do ślubu taty i Ethel... Ostatnio przejmowałem Agencję Detektywistyczną Rafferty. Nie mogę czekać już ani dnia dłużej.

- O co chodzi? - zapytała z bijącym sercem.

- Antonio Katieen Bonacci! Czy wyjdiesz za mnie? - Ukląkł przed nią na jedno kolano, wyciągnął ręce na boki i podniósł oczy do góry.

Annie zatrzęsała się od śmiechu.

- A mówiłeś, że nie wierzysz w instytucję małżeństwa.

- Próbowала postawić go na nogi.

- Skądże znowu. Ja nie wierzę w rozwody. A więc musimy zostać razem aż do śmierci.

- Mówisz serio? - zapytała cicho. Wstał i popatrzył na nią z miłością.

- Nigdy nie byłem bardziej serio. Kocham cię, Annie. I chcę cię kochać, szanować i dbać o ciebie przez resztę życia. Chcę, żebyś została moją żoną.

- Och, Cole! - Myślała, że przewróci się ze szczęścia.

- Słucham.

- Wyjdę za ciebie pod jednym warunkiem. Dopuścisz mnie do współpracy przy ciekawszych sprawach. Po to, żebym nadal mogła pisać dobre reportaże. I co ty na to?

- Umowa stoi. Mam nawet pomysł od czego zaczniemy. Co powiesz na tekst o wykorzystywaniu gości przez obsługę hotelu „Regency”? Wynajmiemy dla niepoznaki apartament dla nowożeńców, zamieszkamy tam kilka dni...

- I nocy? - dorzuciła Annie z nadzieją w głosie.

- Oczywiście. A żeby uśpić ich czujność, będziemy zachowywać się jak szaleńczo zakochana para, cały czas spędzimy w łóżku. I co ty na to?

- Wiesz dobrze, że zgodzę się na wszystko, żeby napisać dobry tekst. Ale obiecaj mi jedno. - Przytuliła się do niego całym ciałem. - Nie rozwiążesz tej sprawy zbyt szybko, dobrze?

- Kochanie! Poderwałaś najwolniej pracującego detektywa w całym Denver.